

TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N^o 183.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 28 marca 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM VII.

TREŚĆ NUMERU.

Franciszek Bieliński (z dzieworotem). — Kronika tygodniowa. — Książki 161
św. Barbary w Krakowie (z dzieworotem). — Dawne ubiory i uzbrojenia (dalszy
ciąg dwa dzieworoty). — Miasto Pyzdry (z dzieworotem). — Listy z Nowego-
świata. — Nuty: Lirnik. — Heraklesowe drogi (dalszy ciąg). — Przegląd polityki
zagranicznej. — Szachy. — Rebus.

Franciszek Bieliński.

Franciszek Bieliński pod panowaniem aż trzech królów ważne zajmował stanowisko, a zaczął żyć jeszcze za czwartego. Niezmierniej surowości i powagi sędzia za Sasów, pod Stanisławem-Augustem stał się anachronizmem, jako zabytek staropolszczyzny, która już przybierała inne rysy zaczęła, i jeden z pierwszych przez śmierć z pola walki ustąpił.

Pochodził z rodziny, która wielkie miała względy u Augusta IIgo. Tém się tłumaczy bystry jego polot, prędki wzrost w godnościach narodowych. Prawie odrazu stanął na szczycie. Przez łaskę w kor. stał się pierwszym ministrem rplitęj. Czy sam osobiście miał łaskę królewską? nie wiemy, ale to pewna, że miał ją przez swoich, to jest przez siostrę i brata, wreszcie przez ojca. W siostrze jego Maryannie, która była za Lubomirskim, później za Denhoffem, kochał się król; brat jego młodszy Michał ożenił się z Maryą Aurorą hrabianką Rutowską, córką naturalną króla; ale lubo się to małżeństwo rozeszło, August IIgi przyjaźnił do Bielińskich zachował. Lubił król i ojca ich Kaźmirza za to, że milczał pozwalając na wszystko; zrobił go za to marszałkiem w kor. Los zdarzył, że Kaźmirz żonaty był z Ludwiką Morsztynówną, córką sławnego i bogatego wychodźcy z Polski, podskarbianką koronną, której druga siostra Izabella była za księciem Kaźmirzem Czartoryskim, ojcem sławnych potem ludzi, kanclerza i wojewody ruskiego. Przez te Morsztynówny z bogactwami się i Bielińscy i Czartoryscy. Król, który przez cały ciąg swego panowania myślał o dziedziczości w Polsce, pod koniec już życia znalazł w młodych Czartoryskich ludzi którzy mu chcieli pomagać. Franciszek Bieliński był książąt ciotecznym bratem, ztąd nowe na niego względy, bo król nie chciał odrzucać pomocy Czartoryskich, w których odkrył energicznych a zdolnych bardzo i upartych ludzi.

Późniejsze to były już dzieje. Chcieliśmy tylko wystawieniem tych stosunków rodzinnych i okolicznościowych pokazać, że Franciszek Bieliński same w życiu

swojem spotykał różę. Nie dziwimy się że świetny przebiegł zawód. Urodził się podobno w roku wyprawy króla Jana pod Wiedeń, 1683.

Za życia ojca był jeszcze starostą niegrodowym malborskim, bo Bielińscy mieli indygenat w Prusiech. Przed śmiercią ojciec mu spuścił starostwo grodowe

worowie i w Radwankowie (18 maja 1713, tamże). W kilka tygodni dał synowi jeszcze osierocone po ojcu starostwo garwolińskie (30 czerwca, tamże). Wreszcie mianował go cześnikiem w kor., niedługo potem podskarbin ziem pruskich (1 sierpnia 1714) i starostą brodnickim po śmierci Wojciecha Kawieczynskiego podkomorzego chełmińskiego; do starostwa przydał mu miasto Lubarg (7 grudnia 1714 roku, tamże).

Widzimy tu że synowie pańscy rośli jak na drożdżach, wtenczas kiedy zasłużonym, poranionym na usługach ojczyzny, nieraz chleba nie stawało. W ciągu dwóch lat niespełna, Bieliński posiadał za łaską pańską, a co najprędzej za umizgiem siostry, cztery piękne starostwa, podskarbstwo i urząd koronny. Zasługi publiczne później nastąpiły, wprzód było miejsce dla nagrody.

O ile wiemy, od tego czasu w ciągu lat kilku raz tylko posłował na sejm, obranym będąc z czerskiego w sierpniu 1722 r., razem z podezaszym czerskim.

Niedługo potem brat jego Michał ożenił się z panną Rutowską. Więc i Franciszek dworowi naprzykrzać się począł. Zawakowała łaska nadworna koronna przez śmierć Wojciecha Dąbskiego (14 maja 1725). Bieliński był prawie pierwszym co się po nią zgłosił do Dreżna. Znalazł bardzo silnych spółzawodników. Starano się najprzód o tę łaskę dwóch Potockich: Michał pisarz polny kor. i referendarz Stefan, brat rodzony księcia prymasa. Powiadano że referendarz niebardzo się napierał, bo gdyby chciał naprawdę, byłby łaski najbliżej. Później zjawił się z pretensjami i trzeci Potocki, Józef wojewoda kijowski, dawny hetman króla Stanisława Leszczyńskiego. Król odkładał nominacyą do dalszego czasu, bo nie nie nagliło. Za powrotem do Polski, miał się stanowczo oświadczyć. Mieli króla w podejrzeniu niektórzy, że łaskę chciał oddać Michałowi Radziwiłłowi, staroście przemyskiemu, temu co później znany w dziejach pod imieniem hetmana Rybenki. Byłby to pierwszy Radziwiłł marszałek koronny. Bieliński mocno nalegał, ale wszystko się to na niczem skończyło. (Gazety pisane, w czerwcu 1725). Żaden z kandydatów nie utrzymał się tym razem.

W grudniu król obiecał łaskę Chomętowskiemu, wojewodzie mazowieckiemu, który kiedy dla buławy polnej w rok później na województwo powrócił, marszałkiem nadwornym kor. został Stefan Potocki.

Bieliński za to wziął województwo chełmińskie (28 grudnia 1725, Sygillaty ks. 28). Z cześnikostwa ustą-



FRANCISZEK BIELIŃSKI (Rysował Polkowski z portretu familijnego).

czerskie na Mazowszu (nominacya 24 marca 1713, Syg. ks. 48). Inne wakanse brał już po śmierci ojca, który wtenczas zakończył życie. Król głosu swojego marszałka słuchał i nadał według jego życzeń Franciszkowi królewską Dzierżawę i dwa wójtostwa, w Dzie-

pił bratu, zięciowi królewskiemu. Wojewoda już będąc, zabiegał Bieliński o marszałkostwo trybunału skarbowego. W roku 1727 miał spółzawodnika w osobie księcia Janusza Wiśniowieckiego, wojewody krakowskiego. Obadwaj na czas w maju pojechali do Radomia, ale Bieliński tak niebezpiecznie zapadł tam na zdrowie, że aż doktora potrzeba było sprowadzać rozdawionymi koźmi i z tego powodu marszałkiem nie był. (Z gazet pisanych). Na rok więc 1728 zawczasu się postarał o listy polecające od króla. Łatwo mu wyjednać je przyszło, bo August II był podówczas w wielkich czułościach dla swojej córki, pani Michałowej Bielińskiej. Może list królewski skutkował, ale to pewno, że Bieliński marszałkował w Radomiu r. 1728.

Na generale pruskim pierwszy raz zasiadał tegoż roku w Malborgu. Krzysztof Szembek biskup warmiński otworzył narady wotywą (30 sierpnia), poczem nastąpiło zaraz posiedzenie u Bielińskiego, jako najstarszego wojewody; pytali się panowie, kto ma zagajać generała, kiedy książę biskup warmiński nie jest indygeną, żeby mógł objąć prezydencję. Do tego żaden z trzech wojewodów pruskich jeszcze nie przysięgł w prowincyi, a im służyło prawo zagajać generała po biskupie, zjechali się zaś wszyscy trzej: Bieliński, Piotr Przebendowski i Piotr Czapski. Wszyscy byli na swych miejscach, wszyscy się stawili, ale formalności nie zachowali i głosu jeszcze właściwie nie mieli. Bielińskiemu należałoby pierwszeństwo z krzesła, ale że nie przysięgł, mógł go niższy wojewoda uprzedzić; wszyscy trzej jednakże, jak powiedzieliśmy, w podobnym jak Bieliński znajdowali się położeniu. Magistrat toruński wystąpił wtedy, dowodząc że ma prawo zagajenia generała; Gdańsk Toruniowi rzucił kondemnatę. Po długim o to sporze, ustąpił swego prawa Toruń Bielińskiemu, zwykłym obyczajem, zrobiwszy na swoją stronę zastrzeżenie. Zagaił wojewoda na ratuszu generała, ale tu nowa trudność, od czego zacząć. Książę biskup nie miał jeszcze indygenatu, czy przeto wojewodów słuchać przysięgi, czy księciu nadać przywilej? Biskup do siebie na ucztę laskawych gości zaprosił. Nazajutrz Bieliński ponawia pytanie, czem się zająć piérwój? Szlachta nie postanowiła, a biskup jeszcze raz częstował. Dopiero trzeciego dnia (1 września), po wielkich sporach, pozwolono biskupowi na indygenat i napisano przywilej. Szlachta pruska o swoje przywileje była niezmiernie zazdrośna, zwyczajnie jak cała szlachta polska. Dlatego kiedy na następnej znowu sessyi czytano indygenat, każdy się przymawiał, żeby zaostryżić siłę wyrażeni. Napisali że na ten jedyny raz biskup, acz nie Prusak, dostaje biskupstwo pruskie, że zrobiło się to dla jego osobistych zalet i zasług, ale nawet i na niego włożono obowiązki, ażeby się starał o konstytucyę sejmową, któraby indygenom pruskim wielkie prawa i wolności zastrzegła. Udali się następnie wszyscy do kaplicy, w której książę biskup przysięgał na zachowanie praw prowincyi. Kiedy wszyscy w zgodzie powrócili na ratusz, książę dziękował braci szlachcie i zajął krzesło prezydenta. Mieli potem przysięgać biskup chelmiński Feliks Kretkowski i trzej wojewodowie. Nie było o świeckich senatorów kłopotu, wszyscy z Pruss pochodzili; ale przeciw biskupowi, że indygeną nie był, oświadczał się Kruszyński, synowie zmarłego kasztelana gdańskiego. Swawola polska, nie więcj. Bo kiedy Szembekowi, nie indygenie, a przyznano biskupstwo, czemu nie Kretkowskiemu? Wtém nadjechał poseł królewski z instrukcyami i burzę przerwał. Nazajutrz 3go września, za wdaniem się senatorów, którzy już poprzedzili, dopuszczono i biskupa chelmińskiego, bo Kruszyński ustąpił, z warunkiem żeby wszyscy jego następcy byli Prusakami. Kiedy już biskup przysięgł, Kalkstein i Lembiński tamowaniem głosu wstrzymali narady i sessyą odwołano. 4go września książę prezydent nalegał na elekcyę marszałka. Dużo było ochotników do laski, a najwięcej ubiegał się o nią starosta klecki; kasztelanie rypiński, może Tarnowski, także miał nadzieję. Jedna szlachta nie chciała starosty, druga, widząc co się dzieje, smutnie przewidywała, że generał pruski rozejdzie się tym razem bez skutku. I rzeczywiście zerwał się na lasce. Przyczyniła się do tego wprawdzie wieść, że król chory i że powrót swój do Polski odłożył na później. Nie było z powodu także choroby podskarbiego Przebendowskiego, który tak ważne w Prussach królewskich zajmował oddawna stanowisko; leżał w Przygodzicach. Generał więc skończył się na niczem, lubo zawsze i wielką ziemi przyniósł korzyść. Zapelniał się senat pruski, a wojewodowie wszędzie pootwierali grody i sądy ziemskie, które dotąd długo zamknięte były według prawa, gdy każdy z nich, będąc starostą grodowym, musiał nanowu gród i sądy ustanawiać.

Nie uważał się jednak Bieliński i tak dosyć silnym na stanowisku, kiedy szukał bliższego spokrewnienia z podskarbiem Przebendowskim. Niedawno owdowiał

po mężu swoim Janie Mikołaju Radziwille, wojewodzie nowogrodzkim, córka podskarbiego Dorota Henryetta (20 stycznia 1729 roku). Była to już osoba niemłoda, z Radziwillem żyła lat dwadzieścia kilka, sama miała lat przeszło 40. Wypisujemy dosłownie z Kuryera Polskiego wiadomość o małżeństwie Bielińskiego z Radziwiłłową w początkach r. 1730:

„Z Warszawy. Die 4 januarii podczas nocy przyjechali tu lehmć podskarbi w. lit. i książę kawaler Czartoryski, a die 3 ejusdem około godziny 10 w nocy Imć p. wojewoda chelmiński wziął ślub z księżną wojewodzina nowogrodzką w pałacu jéjże, ad praesentiam jmci ks. kasztelana wileńskiego z jejmcia, imci p. podskarbiego pomienionego z jejmcia, księcia kawalera przerzeczonego, kasztelana liwskiego i innych. Po ślubie przez Imci ks. nuncyusza danym, niżeli kolacyą dano, praesentes ichmość w karty się bawili, a po kolacyi rozjechali się do swych staney.“ (K. P. Nr. II z 1730 roku).

Była, jak widzimy, na weselu cała historyczna *Familia*. Ten podskarbi lit. co umyślnie na wesele zjeżdża do Warszawy, to Stanisław Poniatowski, mąż Konstancyi *gradowej chmury*; książę kawaler Czartoryski, to późniejszy wojewoda ruski, kasztelan wileński to ojciec kawalera, wuj pana Bielińskiego nowożeńca, przez żonę Morsztynównę. Ojciec tylko księżny wojewodziny nowogrodzkiej, Przebendowski, nie mógł być na weselu, bo już nie żył.

Państwo Bielińscy zamieszkali w Warszawie. Wojewodzina ciągle siedziała w stolicy, mąż jeździł po wszech stronach, do Pruss, do Piotrkowa na trybunał, do swoich dóbr otwockich, które posiadał pod Warszawą. Pan dumny, zwyczajem wieku zaczął się stroić w długie tytuły; jakoż zwał się hrabią na Radzyminie, Bielinie, Otwocku, Karczewie i Parysowie. Były to wszystko mazowieckie dobra, od pruskich nie brał tytułów: rzadka skromność. W Warszawie dawał świetne bale na imieniny żony (6 lutego 1732 roku). W Piotrkowie prowadził sprawę skarbową i częstował nieraz z tego powodu deputatów. Doczekał się albowiem tak dawno pożądaney laski koronnej; nie składał jednak podskarbstwa ziem pruskich. Do podskarbstwa tego była od dawnych lat przywiązana pensya z ekonomii malborgskiej; corok ją w listopadzie na św. Marcin wypłacano. Bieliński długo jej nie pobierał, bo gdzieś zaległa. Przypomniał się o nią królowi, który obiecywał w to wejrzeć, ale zawsze na niczem schodziło. Tak zeszło do r. 1730. Nie wzięwszy ani grosza z pensyi, Bieliński wtedy na generale przedsejmowym pruskim w Grudziązu wykazał 28 sierpnia, że mu się już należy od r. 1717 złp. sto tysięcy. Zdaje się że o to właśnie processował się w Piotrkowie „ex registro fisci“ (w listopadzie 1730 r. Kur. Pol. Nr. 153). A dochodzić swego musiał, bo, jak powiedzieliśmy, wziął laskę nadworną 8-kwietnia 1732 r., która już od lat dwóch prawie wakowała po Stefanie Potockim. Król zapewne tu ustąpił najsilniejszym naleganiom.

Teraz dopiero Bieliński czynne naprawdę rozpoczął życie. Przysięgł na urząd 20 kwietnia 1732 (Kur. Pol. Nr. 122). Już odtań prawie nie opuszczał Warszawy. Brał udział we wszelkich uroczystościach dworskich i rplptj. 28go sierpnia znajdował się na posłuchaniu posta tatarskiego, 4go września na konferencyach z obcemi ministrami; głównie zaś wyznaczyła go wtenczas rplpta wraz z biskupem płockim do układów z postem berlińskim. Był na radzie senatu i na sejmie nadzwyczajnym, który się jeszcze za życia króla zgromadził naprózno w Warszawie, w październiku 1732 roku.

W bezkrólewiu, które za tём nastąpiło, Bieliński na generale pruskim upominał się jeszcze o pensyę za podskarbstwo (w marcu 1733). Wymógł to, że w instrukcyi posłów na sejm konwokacyjny, ziemię pruskie uznały za usługi i jego samego i ojca. Polecano więc rplptj Bielińskich, a osobno generał stanowił, że zebrawszy się na przyszły raz po konwokacyi, obmyśli sposób, jakimby pretensye marszałka za podskarbstwo wynagrodzić. (Schultz w Zbiorze Knocha, księgarza gdańskiego, str. 35—52).

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika tygodniowa.

„Na ten tydzień“....., rzekł do mnie Dalaj Lama.....

Dalaj Lama? zapytacie, co to jest?

A.... zapomniałem wam powiedzieć: jest to techniczne, uprawnione już wyrażenie.

W każdym piśmie dobrze uorganizowanym, redaktor główny nazywa się *Dalaj Lamą*.

Dlaczego? spytacie zapewne, zbyt ciekawi czytelnicy.

O.... *dlaczego*, w tём właśnie sęk. To *dlaczego* przyczepia się do wielu rzeczy, do wszystkiego czego nie pojmujemy, do wszystkiego co nam się dziwnem zdaje, do wszystkiego co się dzieje w ogóle. I ktoś myśli że jak powie *dlaczego?* to już koniecznie mu trzeba odpowiedzieć. Ba—gdyby to tak było, jakżeby los nasz był godnym zazdrości! Pojmowalibyśmy tysiące wypadków, które dotychczas nam się wydają niepojętemi, z kąd pochodzi: że rozsądek bywa często głupim, a nierozsądek mądrym; że katary panują na wiosnę, a zima tegożocna przeszła bez mrozów; że kiedy na całym świecie jest sucho, Warszawa koniecznie musi być zabloconą; że cygaro, za które dwańście groszy gotówką zapłaciłem, nie chce wcale ciągnąć; że Francuzi umierają na żółtą febrę w Meksyku, a Amerykanie północni i południowi godzi się z sobą nie chcą; że kometa, która nam kilka lat temu przysłała swoje kartę wizytową, dotąd nie raczyła przyjść w odwiedziny; że wreszcie cała lewa strona Leszna nie ma kamiennego chodnika, co bardzo jest niewygodnem dla tych, co po lewej stronie tój ulicy mieszkają.

Ale.... wiedzielibyśmy także z jakiego powodu obywatela pewnej okolicy zaczynają zamierzone oszczędności od nieprenumerowania pism i uszczuplania składek na szkółki ludowe.

Ale nie wiemy przyczyny tak tego, jak i mnóstwa innych rzeczy, i nasze *dlaczego* w wielu razach pozostaje bez odpowiedzi. Nie przeszkadza to jednak, iż niezrażeni złym skutkiem usiłowań swoich, pytamy się ciągle i będziemy się pytać przez całe życie, aż dopóki najbardziej zagadkowa zasłona nie spadnie nam na oczy, a po za nią....

Lecz zbyt daleko odbiegliliśmy od przedmiotu.

Ekscepcjonalnie.... dlaczego ekscepcjonalnie? kiedy można powiedzieć wyjątkowo.... więc wyjątkowo, jeżeli wam się tak podoba, odpowiem wam na dzisiejsze wasze pytanie.

I muszę wam powiedzieć najprzód kto to jest Dalaj Lama, bo jakkolwiek mam was za bardzo wykształconych w obrządkach religii Buddy, być jednak może iż niektórzy z was niezupełnie oswojeni są z tą nazwą i godnością jaką oznacza.

Dalaj Lama jest naczelnikiem, wielkim kapłanem religii buddaistycznej. Mieszka on w mieście niebieskiem, na granicy Chin i Tybetu, w lamasseryi nazwanej Potala. Lamasserya ta jest Rzymem dla Tybetan, północnych Indyan i Mongołów. Raz na rok odbywa się do niej święta pielgrzymka. Z najoddaleszych stron przybywa tam tysiące tysięcy ludzi, z hołdami, podarunkami i modlitwą. Wielka uroczystość trwa kilka tygodni. Ale Dalaj Lamy, wielkiego Sandzaramby, Buddy wcielonego, nikomu nie jest danem oglądać.

W czasie jednak tych kilkunastu dni pobytu w mieście niebieskiem, ci z wiernych którym udało się weisnąć do wewnętrznego podwórza lamasseryi, dostępują wielkiego szczęścia. Pomiędzy jednym budynkiem a drugim, wysoko w powietrzu, rozciąga się ogromny kryty most, mający u spodu wążką szklaną obwódkę. Otóż pewnego dnia o oznaczonej godzinie przez ten most Dalaj Lama przechodzi, i przez szklaną obwódkę dają się wówczas widzieć jego czerwone, złotem haftowane pantofle. To jedyna część z osoby Buddy wcielonego, co widzialną się staje dla śmiertelników; a jednak dla tych którzy te pantofle oglądali, widok ten pozostał na całe życie niezatartą pamiątką; słyną oni u swoich za świętych prawie, a ludzie mówią o nich z zazdrością i uwielbieniem.

— On widział czerwone pantofle wielkiego lamy!

To ma się znaczyć: przed nim odsłoniła się część tajemnie niebieskich, cień Buddy zawisł nad nim, on odetchnął technieniem nieśmiertelności.

Bo Dalaj Lama, to Bóg ziemski Tybetu; na słowo jego drżą tysiące i tysiące się korzą; on ma prawo życia i śmierci nad całym społeczeństwem.

Więc spytacie się: dlaczego redaktorowie główni nazywani są Dalaj Lamami?

Oto dlatego, że jak Sandzarambowie Tybetem, tak oni rządzą piśmie, którego losy trzymają w swoim ręku. Redaktor główny, to tajemnicza, mistyczna prawie osoba, rzadko kiedy odsłaniająca się przed profanami. Inni Lamowie krzątają się, dopełniają szpalty, piszą na obstalunek: on zwykle milczy i dzieli tylko między nich robotę. Dalaj Lama rządzi tylko i sędzi, ogłaszając wyroki życia albo śmierci, a wyroki te zawsze są nieodwołalne. Czasem wprawdzie przyzywa do rady ministrów, wysłucha ich zdania i.... zro-

bi po swojemu. Prenumeratorom i czytelnikom, którzy przez cały rok odbywają pielgrzymkę po zadrukowanych szpaltach pisma, Dalaj Lama nie odslania się nigdy prawie. Zdarzy się może kiedy, że ujrzą oni jego złotem haftowane pantofle w jakim zwykłym krótkim a ważnym artykule; ale muszą się domyślić że to są własne pantofle Dalaj Lamy, bo zwykle nie im tego nie wskazuje. A potem, choćby przez całe miesiące stali pod mostem, to ujrzą tylko szeregi podrzędnych lamów, goniących jeden za drugim, a Sandżaramba zamknął się już napowrót w swęj świątyni.

Więc Dalaj Lama rzekł do mnie:

— Na ten tydzień będziesz łaskaw dostarczyć nam wcześniejszą kronikę, a to dlatego, że we środę wypada święto uroczyste i że zecerowie będą mieli o jeden dzień mniej do składania.

— Masz sobie, rzekłem do siebie, powróciwszy do domu, myślałem że będę miał najmniej parę dni jeszcze czasu przed sobą, a tu trzeba natychmiast brać się do pisania. Niby to tak kronikę można z rękawa wytrząsnąć, zwłaszcza teraz, kiedy rękawy zwięzły, a kronikom uskaپیło się materyału. Wyrzekać jednak nie pomoże, obowiązek jest obowiązkiem. Dalaj Lama wyrzekł słowo, a słowo jego jest nieodwołalne: trzeba zacząć pisać.

I zasiadłem przed stolikiem.

Przejrzałem wszystkie notatki, wszystkie listy, wszystkie posyłki: ani rusz, wszędzie pustki, nic się nie nada. Przechodzę cały tydzień upłyniony dzień po dniu, godzina po godzinie, chwila po chwili, i do żadnego dnia, do żadnej godziny, do żadnej chwili uczeپیć się niepodobna.

A jednak wszystkie już przybory do pisania leżą przedemną.

Więc najprzód biały i gładki papier.....

O.... bo nie uwierzycie jak ważną rolę papier gra u literata! To część jego zdolności pisarskich, to jego styl, jego płynność, często jego myśli. Musi być koniecznie śnieżnej białości, a to dlatego, że każda odmienna barwa, każda plamka na nim stanowi już pewną przeszkodę i odmianę w ciągu. Jeżeli papier siwy, w oczach się ćmi, myśli zaseپیają się, jakieś żalobne usposobienie sypywa na pióro. Nie chce się odczytywać tego co się napisało, bo dosyć trudu już było napisać. Litery mienia się w oczach, piszący nuży się robotą, chciałby czempędziej skończyć. A to znuzenie jego odziaływa na artykuł: staje się on nudnym, pustym, przewlekłym. Wszystkie sztuki, które upadły w teatrze, musiały być pisane na innym piórze, wszystkie książki, którym brak czytelników, z siniego manuskryptu drukowane były. O wy, którzy nie zważacie na barwę pióru na którym stawiacie litery, jakież straszny bład popełnicie w wiadomości swojej!

Jeżeli papier jest żółty, to jeszcze gorzej. Żółty kolor jest barwą zazdrości; kto żółto patrzy na świat, ten jest nieprzyjacielem wszystkich i wszystkiego. Kaligula najbardziej lubował się w żółtym kolorze. Najzjadliwsze węże mają żółte barwy. Osa, której ukąszenie tak bolesne, jest żółta. Jedna z najprzykrzejszych chorób ludzkich nazywa się żółtaczką i pochodzi z rozlania się żółci, tego gryzącego płynu, znajdującego się w ciele naszym, który wpływa na zły humor, nudę, smutek, melancholię, wszystko to co ujemnie odziaływa na charakter człowieka. Złoto jest żółtym, a wiadomo ilu to nieszczęść i klęsk złoto bywa powodem na świecie. Nawet Chińczycy, dlatego że żółty kolor nad inne przekładają, skryzalizowali się tak w cywilizacji swojej, że od tylu wieków ani kroku naprzód nie uczynili. Egipcyanie żółtego koloru używali do żałoby, a Karaibi malują twarze na żółto, kiedy się wybierają na jaką bardzo morderczą wyprawę. Miałem przyjaciela, który za nic w świecie nie nająłby mieszkania w domu na żółto pomalowanym, a kiedy mu raz podczas odwiedzin przyszło w żółtym pokoju siedzieć, dostał nerwowego ataku. Koty dlatego tylko budzą tak wielki wstręt do siebie w niektórych osobach, że oczy ich wpadają w żółty odzien. Książę de Berry, kiedy padł pod sztyletem zabójcy, miał na sobie żółtą kamizelkę.

I dziwić że się tu, iż na piórze tej barwy niepodobna jest pisać. Pamiętam epokę w której wszedł w użycie po niektórych biurach żółty papier; nigdy tyle co wówczas nie pokazało się zaległości w interesach. Radcy i naczelnicy badali przyczyny, robili poszukiwania, nakładali kary. Ale nikt wówczas nie wpadł na prawdziwą przyczynę opuszczenia się w pracy najpilniejszych nawet urzędników. Przyczyną tą był żółty kolor pióru, a kiedy nadszedł czas licytacji i inny dostawca zaczął dostarczać materyały pi-

śmienne, zaległości usunęły się, jakby za dotknięciem laski czarodziejskiej.

Ile razy zdarzyło mi się pisać na piórze w żółtą wpadającym barwę, zawsze bywałem niezadowolony z mojego artykułu. A co gorsza, znalazł się wówczas jeszcze ktoś, co wzięwszy do siebie najniewinniejszą nawet wzmiankę, upominał się o obrażenie jego osobistości, chociaż, Bóg widzi, nie miałem żadnej złej myśli, a nawet najczęściej nie znałem wcale tego pana, który mi zarzucał występowanie przeciwko niemu. Jedną z ostatnich swoich kronik pisałem na żółtawym piórze, i niektórzy właściciele handłów win poczęli zaraz czynić mi zarzuty, że chcę ich o straty przyprawić, potępiając śniadankowiczów. I nadaremnie się tłumaczyłem, że nie myślał dotknąć żadnej osobistości, że pisałem wogóle o rodzaju, nie o żadnych podgatunkach: nie chciano mi wierzyć.

Więc widzicie, że barwa pióru nie jest wcale obojętną dla pisarza.

A że papier musi być bardzo gładki, tego już chyba wcale dowodzić nie trzeba. Bo pisze tu na chropawym piórze, kiedy co chwila pióro twoje napotyka przeszkodę jaką, pryska, albo czyni zwrot niepotrzebny. Kiedy się już raz zaczęło pisać, myśli biegną szalonym pędem, pióro ich zgonić nie może i niejednemu autorowi przychodzi żalować że nie uczył się stenografii, co by mu wiele trudu i zmudy oszczędziło. Tych liter tak wiele jest w każdym wyrazie, a wrazy te tak prędko przesuwają się w myśli! Nim się jedno zdanie napisze, już drugie, które jasno przedstawiało się w umyśle, uniewyraźniło się, zaciemniło, zmieniło nawet. I gońże tu za nimi! Ani podobna. Więć żeby nagromadzić najprzychylniejsze warunki pisarskie, zawsze one okażą się niedostatecznymi; cóż dopiero kiedy najważniejszego z tych warunków, gładkości pióru, nie dostaje. Myśl urywa się co chwila, ubiega, już jej niema. Przy końcu frazesu, w nakręśleniu którego napotkałeś materyalną przeszkodę, zapominasz o jego początku. Siadłeś do stolika z pogodnym czołem, zachmurza się ono powoli. Ciemnieje to, co w jasnych przedstawiało się barwach. Pióro ci prysnęło, drze papier..... a bogdajże ci! zły jesteś i złość swoją wywierasz na pierwszym lepszym co ci podpadnie pod rękę. A ponieważ pod ręką twą znajdują się właśnie litery, zły humor przeto wsiąka w nie, tryska przez nie. Nie zazdroścę autorowi, którego dzieła rozbiór krytyk na chropawym piórze zaczyna pisać: każde zdżbło, każda nierówność jest wadą dzieła i autora; dalejże po nich! niech płacą za wszystko. Toż samo kubek w kubek ma miejsce z recenzjami teatralnymi. W Paryżu znają się na tém i z każdym nowym rokiem artyści przysyłają recenzentom po kilkanaście liber atlasowego pióru. Niezawsze to pomaga, ale przynajmniej jest pewnego rodzaju ochroną. U nas nie przychodziło nigdy do tego, ale jakie też były recenzje teatralne u nas, kiedy istniały jeszcze! Chodziły one do dyrekcji teatrów po przyłożenie stempla, a bez tego stempla niewolno było ich drukować. Samo z siebie rozumie się, że dyrekcya wyrzucała z recenzji wszystko co było nieprzychylnego przedstawieniu, grze artystów, kostiumom, kulisom, oświetleniu, maszyneryi, kassyerowi, lożmajstrom, przeciągom powietrza w krzesłach i w łóżkach, ławkom zle wysłanym i t. p. Krupilo się więc najczęściej na biednym autorze, który nie należał do teatru. A i tak, jeżeli autor miał w dyrekcji jakie zachowanie, to wara od niego! Takimi były u nas recenzje. I dziwić się tu, że żadnego wpływu nie wywierały na grę aktorów, na wybór sztuk, na ożywienie repertuaru!.....

Leży tedy przedemną papier biały i gładki i pióro ile możności najdogodniejsze.

O, z piórami, to inna znów historia.

Można powiedzieć, że autorowie dzielą się na kategorie, według piór któremi piszą.

Pisarze starego autoramentu, używają jeszcze dawnej metody piór gęsich, temperowanych sezyorykiem.

Pióra gęsie w szczególności ulubione były uczonym historykom, filozofom, tym wszystkim którzy podczas pisania zwykli namyslać się i czynić dłuższe przestanki.

Wówczas to pióro staje się wyborem tłumaczeniem przed samym sobą. Nosek przytarta się, trzeba go poprawić, obetrzeć starannie z atramentu, scienić, przyciąć na paznociu. To wszystko potrzebuje czasu, a często bibula i sezyoryk nie znajdują się zaraz pod ręką; trzeba więc spocząć trochę, poszukać ich na stoliku, bo jakże tu pisać piórem przytartym i wystrzępionym? Tymczasem przyjdzie namysł, zajrzy się do książki, do notatki, do karteczki jakiej, zrobi się przypisek, a rzecz zawsze na tém zyska. Znam kilku pisarzy co twierdzą sami, że wielka część ich zdolno-

ści pisarskich leży w temperowaniu pióra. Owo *saepe stylum veritas* Horacego tak właśnie trzeba rozumieć. Bo po zatemperowaniu, znów nie można się tak od razu zabrać do pisania, trzeba odczytać poprzednie peryody, co się to tam napisało, czy niema powtórzań, wad stylu, błędów grammatycznych nawet. A jeżeli się wcisnęło co niepotrzebne, zaraz kreśli się i poprawia, nie spuszczając się na korektę, jak to czynią pisarze młodszej generacyi. I nieraz po namyśle, po tej przeszkodzie koniecznej, to co się wcisnąć miało zbyt rażącego, zbyt jaskrawego, mogącego narazić autora lub książkę, nie znajdzie już tam miejsca, — a rękopis wychodzi piękny, wygładzony, błyszczący, opracowany jak cacko, świecący jak nowy pieniądz świeżo z pod stempla. A zecer błogosławi starannego autora, który tak mało korektorowi pozostawia do roboty, a czytelnicy zadowoleni że mają do czynienia z człowiekiem porządnym, systematycznym, co umie zaprowadzać dokładną miarowość w myślach i stylu. I komu piszący winien jest to wszystko? Oto pióru gęsiemu jedynie, — temu pióru gęsiemu, za pomocą którego niepodobna wypisać całej stronicy jednym ciągiem, bez poprawy.

Inaczej dzieje się z piórami stalowymi, z tym nowożytnym wymysłem. Nie potrzebują one temperowania, nie potrzebują poprawy, nie potrzebują przycinania nosków. Jak się założyło jedno z nich w osadkę, tak się niem pisze i pisze, aż do zupełnego zepsucia, które następuje dość późno, za ledwo po zapelnieniu bitem pismem kilku arkuszy. Dlatego to utwory pisane stalowymi piórami są tak niepoprawne, chropawe, często niegrammatyczne nawet; dlatego to nowszej generacyi autorów zarzucają po większej części brak stylu. A niezawodnie jest to także jedna z głównych przyczyn tej ogromnej płodności, co w wielu nowoczesnych autorach nas zadziwia. Czy myślicie że Dumas potrafiłby napisać tysiąc tomów które już wydał na świat, gdyby używał do nich gęsięgo pióra i potrzebował je obcierać, temperować, przycinać? A owe liczne tomy dzieł Dickensa, (nie mówiąc już o piśmie peryodycznym które on redaguje), czyżby ujrzały kiedy światło dzienne, gdyby nie wynalazek piór stalowych? Stalowe pióra stworzyły felieton i e-femerydy, pogadanki i gawędy, i powieść w tych ogromnych rozmiarach jakie przybrała, i owe komedyjki, które się fabrykują na spółkę po trzy na tydzień. Stalowe pióra postarały się jakosć produkeyj literackich ilością zastąpić. A wszelkie osobistości, a owe drobne dzienniczki żyjące tylko plotkami, obmową i szkalowaniem, czyż myślicie że obeszyły się bez piór stalowych? Potrzebne one są, bo zastępują dawne miecze, dawne szpady, dawne sztylety. Metal tenże sam zawsze, tylko kształt się zmodyfikował. Nie kalęczyło i nie raniło tak niewinne gęsie pióro; żart z pod niego wychodzący był dowcipniejszy może, lecz oględniejszy, gładszy. Rzadko kiedy kłóło ono do krwi, boć to nie jest rola piśmiennego narzędzia, wyjętego ze skrzydeł ptaka co Rzym ocalił. Ale stalówka kalęczy i krwawi. Natura wilka ciągnie do lasu; trzeba oddać żelazu co jest żelaznego. A w tegoczesnym olbrzymim rozwoju dziennikarstwa; czyż sądzicie że stalowe pióra małą grają rolę? W czasie ulepszonych machin parowych, opancerzowanych okrętów, w czasie ogólnego królowania metali pod rozlicznymi kształtami i nazwami, nie dziwnego że trwożliwe pióro gęsie musiało stalowemu pióru ustąpić. Wyklucza ono wypoczynek i rozmysł wszelki, odczytywanie własnych utworów, oglądę, a poniekąd nawet naukę. To młodsza siostra dróg żelaznych: byle śpieszenie, byle bez wypoczynku, byle odrazu! Cięższe ręka, ale głowa staje się lżejszą zato. Wszystkie dzieła Jana Kochanowskiego w jednym średniej wielkości tomie zmieścić się mogą; tegoczesny autor miałby na sumieniu, gdyby ze trzydziści przynajmniej tomów wielkiego formatu nie wysztyftował. Czy lepiej wtenczas bywało, czy lepiej jest dziś? oto pytanie, jak powiada Hamlet.

Ale radzę ci szczerze, młodzieńcze, jeżeli pragniesz stworzyć dzieło trwałe, dzieło które nie minie wraz z tobą, nie plód gorączkowej fantazyi, ale dojrzalego rozmysłu owoc, — rzuć na bok to niebezpieczne narzędzie, które nie dozwala zastanawiać się, nie dozwala myśleć, nie dozwala studyować, a wróc do dawnego przyjaciela, do poczciwego pióra gęsięgo, które potrafi zastosować się do wszelkich potrzeb i wymagań pracy jaką przedsięwzięłeś.

Dość jednakże tych przedwstępnych uwag, trzeba zacząć pisać kronikę.

Wystawcie sobie.....

Ale otóż zabrakło już miejsca. A więc co macie sobie wystawić, powiem wam w przyszłym numerze.

KOŚCIÓŁ ŚWIĘTEJ BARBARY

W KRAKOWIE.

Tuż obok kolosalnej świątyni Panny Maryi, stoi kościółek świętej Barbary i tuli się pod skrzydła tego gotyckiego olbrzyma. Nie jest on jednakże małym i tylko zbliżenie do kościoła Panny Maryi zmniejsza pozornie jego rozmiary.

Czas wybudowania kościoła św. Barbary z pewnością oznaczyć się nie da. Podanie niesie, że murarze i cieśle pracujący przy stawianiu kościoła Panny Maryi w godzinach południowych wolnych od pracy, z własnej chęci i bez żadnego wynagrodzenia wymurowali kościół świętej Barbary.

W kościele tym początkowo odprawiały się nabożeństwa dla nielicznych obywateli krakowskich pochodzenia niemieckiego. Wszakże w XIV wieku, po wyludnieniu Krakowa, napłynęły nowe gromady osadników niemieckich, a gdy ci wzrosli w bogactwa i znaczenie, wyparli Polaków z kościoła Panny Maryi, oddając im na użytek kościół świętej Barbary. Tu więc odtąd odprawiały się nabożeństwa dla Polaków i kazania w języku ojczystym, dopóki znowu w roku 1586, kiedy ludność Krakowa przeważnie była polską, nie odebrano kościoła Panny Maryi Niemcom, którzy odtąd miesiali nabożeństwo dla siebie w kościele św. Barbary. W nim także i bractwo literackie bywało, które potem przeniesiono do kościoła św. Wojciecha. Tu nadto, po usunięciu się bractwa literackiego, znajdowały się różne kongregacje, mianowicie: bractwo miłosierdzia, kongregacja szlachecka pod tytułem Wniebowzięcia N. Panny, kongregacja św. Barbary i kongregacja miejska pod tytułem Narodzenia Najświętszej Panny.

Kościół świętej Barbary należał do akademii krakowskiej, która miała w nim prawo nadawcze. Kiedy w r. 1569 przybyło dwóch jezuitów do Krakowa, zakupili dom obok kościoła świętej Barbary i wyprosiwszy sobie od akademii krakowskiej pozwolenie, w nim poczęli nabożeństwo odprawiać. Wszelako by-

ła to jakby łaska przez akademią wyświadczona jezuitom, co też niebardzo przypadło im do smaku; poczęli więc robić starania, aby dla siebie pozyskać kościół św. Barbary; lecz im się to dopiero powiodło za panowania Stefana Batorego, gdy na wstawienie się tego króla akademii odstąpiła zakonowi pomienionemu kościół. Wnet znalazły się dobrodziejki, które jezuitom dopomogły do wystawienia gmachu mieszkalnego, mianowicie też kosztem Doroty z Garyńskich Barszowej, wojewodziny krakowskiej, (która na samo zakupienie planów pod budowę 2000 dukatów wydała) w następnym roku rozpoczęto budowę. Dalsze koszty ponosiła Agnieszka z Tenczyna Firlejowa, także

Jana III, zadosyć nie stało, bo księża mansjonarze, popierani przez miasto, utrzymali się przy swym kamienicy. Kiedy zakon w Krakowie trzy kościoły i trzy przy nich kollegia opanował, przeznaczono klasztor przy kościele św. Barbary na mieszkanie dla wysłużonych ojców i zwano go *domus professa*.

Jak był wewnątrz kościół przybrany przed przejściem w ręce zakonu, niewiadomo; ale gdy go na własność wzięli, przybudowano po za wielkim ołtarzem kościoła na pięć łokci i blachą go miedzianą pobito; wewnątrz jednak odnowionem zostało jaskrawo i złocisto, co wcale nie odpowiadało stylowi gotyckiemu tej świątyni; sklepienie pokryły afreski, wy-

o b r a z a j ą c e

dzieje i prace

zakonu jezui-

tów, pędzla Mo-

litora. Ołtarzy

ma kościół św.

Barbary siedm.

W wielkim oł-

tarzu obraz Ma-

tki Boskiej pię-

knego pędzla;

obok niego

dwa św. Micha-

ła i Stanisława

Kostki; dalej

przy ścianach:

św. Rozalii i

Zbawiciela, św.

Ignacego i Ksa-

werego. Za cza-

sów jezuickich

światne tu by-

wały nabożeń-

stwa i liczne

odpusty.

Po zniesie-

niu zakonu, ko-

ściół odstąpi-

onim został

zgrupowaniu

kupców kra-

kowskich, któ-

rzy go w dniu

1 grudnia na

własność obje-

li i mieszą w

nim swoje

nabożeństwa.

Gmach zaś po-

jezuicki przy

kościelach św.

Barbary naj-

przód został

obróconym na

szpital, który

tu w r. 1775

pomieszczono;

we dwadzie-

ścia dwa lat

później odda-

no go kanoni-

kom regular-

ny z Miecho-

wa, zwanym

u nas miecho-

witami lub

krzyżakami,

i włożono na

nich obowią-

zek, by w gma-

chu tym utrzy-

mywali szko-

łę początkową.

Kiedy skut-

kiem trakta-

tów z r. 1815

Kraków został

ogłoszonym

miastem, utwo-

rzono w miej-

scie tej szkoły

liceum św.

Barbary, obok

drugiego ist-

niejącego przy

kościelach św.

Anny. Pomię-

dy uczniami

obu liceów

istniała

nieprzyjaźń

i wzajemne

prześladowa-

nie. Nieprzy-

jaźń ta wy-

radzała się

w bójkach

doszła do

tego stopnia,

że musiano

przenieść

grono profes-

orów z jedno-

go liceum

do drugiego.

Gdy w r. 1834,

z powodu za-

kazu ucze-

szczania

młodzieży

państw

ogranicznych

do szkół

krakowskich,

dwa licea

okazały się

zbytecznymi,

zamieniono

liceum św.

Barbary na

szkołę

techniczną,

która tu

przez rok

tylko zosta-

wała. Gmach

pojezuicki

przy ko-

ścielach

służył także

niejaki

czas za



KOŚCIÓŁ ŚW. BARBARY W KRAKOWIE. (Rysował z natury Gryglewski.)

województwa krakowskiego, wielka orędowniczka zakonu, ta sama o której Kitowicz w pamiętnikach swych ciekawą rozpowiada z tego względu anegdotę. Gmach dwupiętrowy, obszerny, narożny, wkiótce stanął i był w Krakowie pierwszym przytułkiem zakonu, który tak przeważny wpływ wywarł na losy Rzeczypospolitej. Później jezuita, otrzymawszy kościół św. Piotra i św. Macieja, w którym mieli kollegium, kusili się jeszcze o opanowanie domu mansjonarzy, sąsiedniego kościołowi św. Barbary, przeciw czemu burmistrz i rada miasta Krakowa zanieśli prośbę do króla Jana III (1679 r.), ale się zachęceniu ojców, pomimo protekcji

wolnym miastem, utworzono w miejsce tej szkoły liceum św. Barbary, obok drugiego istniejącego przy kościelach św. Anny. Pomiędzy uczniami obu liceów istniała pewna nieprzyjaźń i wzajemne prześladowanie. Nieprzyjaźń ta wyradzała się w bójkach doszła do tego stopnia, że musiano przenieść grono profesorów z jednego liceum do drugiego. Gdy w r. 1834, z powodu zakazu ucze- szczania młodzieży państw ogranicznych do szkół krakowskich, dwa licea okazały się zbytecznymi, zamieniono liceum św. Barbary na szkołę techniczną, która tu przez rok tylko została. Gmach pojezuicki przy kościelach służył także niejaki czas za

DAWNE UBIORY I UZBROJENIA.

(Dalszy ciąg).

(Zebrał i rysował Juliusz Kossak).



Nr. 56.

koszary. Wreszcie po zgorzeniu bursy jerozolimskiej i filozofów w r. 1844, przeniesiono tu uczniów ubogich i pomieszczono szkołę wydziałową.

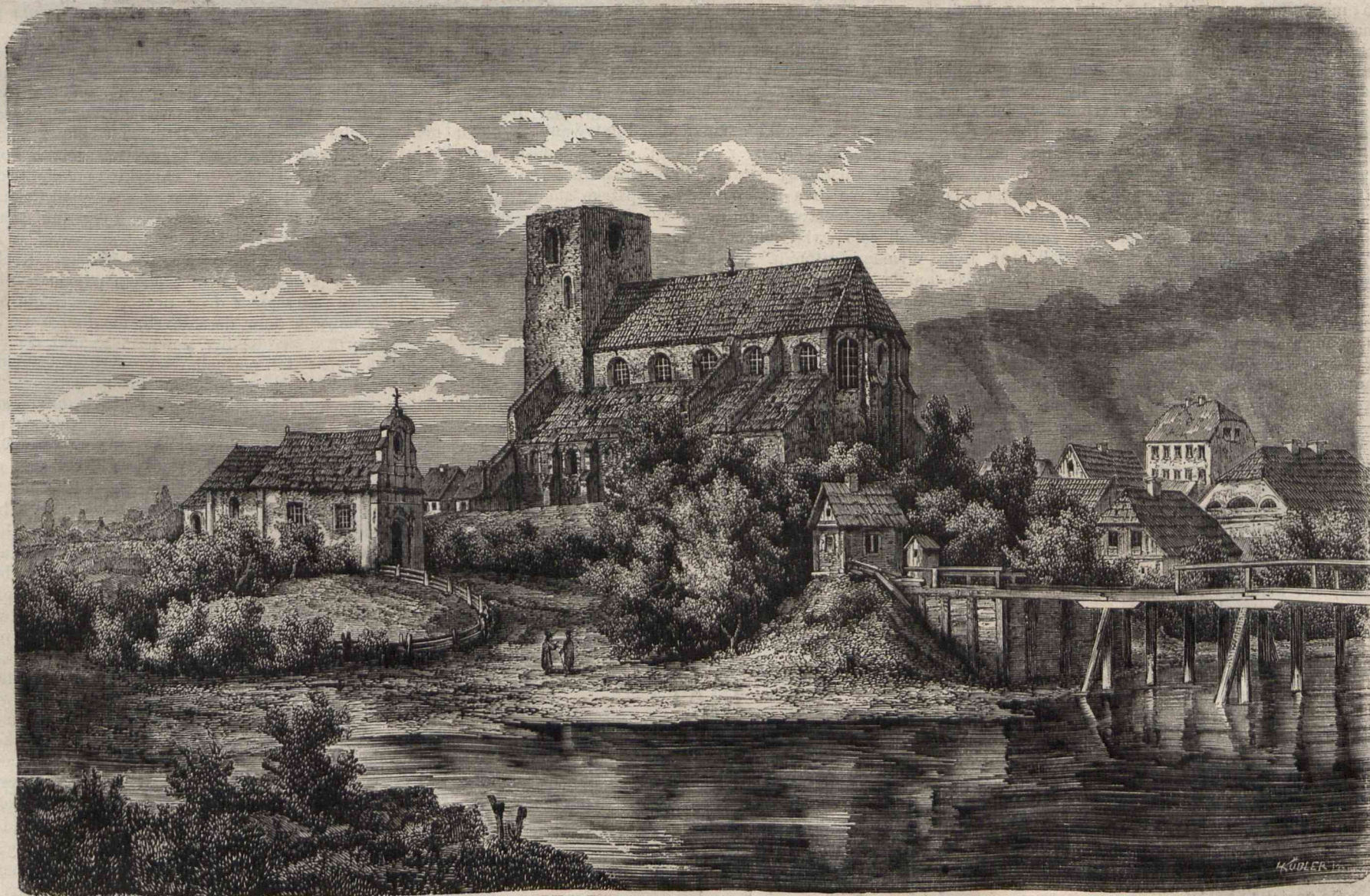
Kościół św. Barbary, lubo pochodzący z wieku III, w wewnętrznym ozdobienu niema wcale cechy starożytnej; oświetlają go tylko okna ponad wielkim ołtarzem i okno nad chórem, jest więc dość ciemnym i posepnym. Jedna w nim tylko znajduje się kaplica po lewej stronie drzwi wchodowych; balustrada w niej zrobiona z siedmiu mieczów z rękojeściami krzyżowymi. Według podania miecze te mają być krzyżackie. W kaplicy tej znajduje się wykuta z kamienia Matka Boska bolesna, trzymająca Chrystusa. W zakrystyi jest obraz Bogarodzicy szkoły florenckiej i relikwiarz świętego Stanisława Kostki, staroświeckiej pięknej roboty. Oprócz tego jest tam także kielich srebrny, prześlicznie rzeźbiony, obejmujący trzy grupy: Chrystusa z św. Magdaleną, Wieczernię pańską i Chrystusa w Ogrójcu. Figurki tych grup, choć bardzo drobne, są nader starannie wykończone. Przysionek kościelny, jedyny zabytek z czasów dawnego kościoła, zanim



Nr. 57.

Wiek XVI. Rycerze w pełnych zbrojach. (Rysunek wzięty z książki rodu Szydłowieckich.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



PYZDRY. (Rysował z natury Kozarski.)

go jezuiti przerobili, odznacza się pięknymi rzeźbionymi drzwiami z kamienia.

Kościół św. Barbary wstawił się także tym, że Piotr Skarga miał tu owo kazanie, skutkiem którego powstało bractwo miłosierdzia, jedna z najpiękniejszych instytucji starego Krakowa. Gdy sławny ten kaznodzieja d. 7 października 1584 roku wchodził do kościoła św. Barbary, uboga stolarka, przyściśniona nędzą, rzuciła mu się do nóg, żebrząc łitości. Poruszony rzekł, Skarga wstąpił na kazalnicę i tak żywo odmalował obraz dotkniętych niedolą i potrzebę założenia dobroczynnego stowarzyszenia, że po kazaniu słuchacze zgromadzili się około kapłana, oświadczając chęć utworzenia bractwa miłosierdzia, które też zawiązanem zostało, a założony przy niem bank pobożny z czasem tak wzrósł, że dziś fundusze przeznaczone na bezprocentowe pożyczki i wsparcia wynoszą przeszło 900,000 złotych polskich.

Założenie bractwa miłosierdzia wielką jest zasługą Skargi; myśl jednak utworzenia banku pobożnego nie wyszła od niego. Jan Paweł Campanus, prowincjał jezuitów, widząc że wsparcia udzielane ubogim przez bractwo nie są jeszcze dostateczne, bo często-kroć prawdziwie potrzebni, a wstydzący się prosić lub niechęć przyjmować jałmużny, pozbawieni bywają zasiłku, postanowił ochronić pożyczających na fanty od lichwy i założyć bank pobożny, któryby udzielał pożyczek bezprocentowych. Uwiadomiwszy o tym księdza Skargę i złożony na jego ręce pewną kwotę pieniędzy, jako fundament przyszłego banku, prosił kaznodzieję aby zamiar jego w gronie bractwa i z kazalnicy popierał. Wymowne kazania, pełne gorącej miłości bliźniego, miewane przez Skargę w kościele św. Barbary, wkrótce wzmogły zasoby banku, tak iż mógł swe dobroczynne działania rozpocząć i po dziś dzień jest prawdziwą opatrnością mieszczan uboższych i okolicznych włóścian.

MIASTO PYZDRY.

W pięknym położeniu na wyniosłym wzgórzu nad rzeką Wartą, leży starożytne miasto okręgowe Pyzdry, założone od niepamiętnych czasów i odznaczające się wielu historycznymi wspomnieniami, oraz wypadkami które w niem zaszły.

Już w XII stuleciu był tu zamek warowny, a miasto należało do ważniejszych miejsc obronnych w kraju. Gościł w niem często wielkopolscy książęta, przyczem miasto zawsze wyrabiało sobie nowe swobody. W następstwie czasów przechodząc pod rządy różnych książąt tej dzielnicy, ostatecznie po ich wygaśnięciu do Korony przyłączone zostało. Za panowania Władysława Łokietka, zniszczone było w r. 1334 przez Krzyżaków, a mieszkańców w pień wycięto. Ale Kazimierz Wielki zaraz po wstąpieniu na tron w roku 1333 odbudował Pyzdry, zamek z gruzów podniósł i mocniej go obwarował. Tu w r. 1345 zawarte zostało zawieszenie broni między tymże monarchą a Janem królem czeskim, rozszczerającym sobie prawo do Polski. Już wtedy miasto należało do znaczniejszych w Wielkopolsce, kiedy w r. 1364 policzone było w poczet sześciu miast, z których wybrani rajcy składali najwyższy sąd miejski w Poznaniu dla całej prowincyi, bez apellacyi do Halli i Magdeburga.

Za panowania króla Ludwika węgierskiego w roku 1382 chwilowo zajęte na rzecz Zygmunta margrabiego brandeburskiego, odebrane było napowrót przez rycerstwo mazowieckie, starające się o następstwo na tron polski dla swego księcia Ziemowita. Kazimierz Jagiellończyk nieraz przebywał w Pyzdrach i składał tu rady podczas wojny z zakonem krzyżackim. Wtedy to potwierdził w r. 1453 wszystkie dawniejsze przywileje miejskie i nowe nadał. Toż czynili i następni monarchowie, a mianowicie: Zygmunt I, Zygmunt August, Henryk Walezyusz, Stefan Batory i t. d. Kwitnęło więc miasto, mieszkańcy rośli w liczbę i zasobność, zaś handel i rzemiosła rozwijały się tak, iż pomimo kilkakrotnych pogorzeli, zawsze potrafiło się podnieść. Ze Pyzdry były niegdyś znacznym miastem, dowodzą tego przechowane w tamtejnem archiwum przywileje; jak zaś licznych miało rzemieślników i przemysłowców, widać to po ilości zgromadzeń cechowych i po dokumentach przez nie dotąd posiadanych. Taki stan trwał do pierwszej wojny szwedzkiej, a to co wypadki wtedy oszczędziły, druga wojna 1704 roku, a w ślad za nią okropna morowa zaraza do reszty wytopiły, tak dalece iż podług ówczesowej lustracyi w całym mieście zostało tylko trzech mieszkańców mężczyzn, a czwarta niewiasta wdowa. W sto lat po tej klęsce, to jest w latach 1807 i 1814, po dwakroć miasto podpalane, znowu do szczytu spłonęło, a na pozostałych zgłiszczach z trudnością podno-

sząc się, dźwignęło się wprawdzie teraz, szczególnie za naszych czasów, dalekiem jest wszakże od pierwotnego swego stanu.

Szczątkami dawniej świetności są przechowane dotąd zabytki. Do takich należy przedewszystkiem zamek, wystawiony zapewne przez książąt wielkopolskich, na wyniosłym wzgórzu nad samą prawie Wartą, który zniszczony został w czasie wojen szwedzkich tak dalece, że tylko dolne z niego pozostały mury. Mury te stały opuszczone aż do podziału kraju i dopiero pod rządem pruskim wzniesiono na nich dom przeznaczony na więzienie poprawcze. Kiedy jednak więzienie to do Sieradza w kilka lat później przeniesiono, dom powięzienny w Pyzdrach został sprzedany i jest teraz prywatną własnością. Części z dawnego zamku pochodzące do dziś dnia w tym domu rozróżnić można; z nich widać, iż zamek pyzdry, stosownie do wygody starostów którzy w nim przemieszkiwali, kilkakrotnie był przerabianym. Dom ten dotąd jest w stanie mieszkalnym.

Za panowania Kazmirza Wielkiego miasto Pyzdry obwiedzione było murem, z którego jednak mały tylko ułamek do dzisiejszych dochował się czasów. Spozstrzegając się także dają ostatki dawnych wodociągów, co jeszcze się pod brukami znajdują, lecz zginęły wszystkie inne dawnej zamożności ślady.

Najwspanialszym z zachowanych dotąd pomników budownictwa jest kościół parafialny pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Panny, stojący na miejscu wyniesionem, z wielką na czele wieżą, w całej swjej długości jednostajną szerokość i wysokość mającą, co pomiędzy kościołami w królestwie nader rzadko widać się zdarza. Jest on w formie gotyckiej wystawiony, że zaś nie dochował swojej erekcyi, niewiadomo zatem komu założenie swoje winien, ani też czas w którym założenie to nastąpiło ściśle oznaczyć się nie da. Budowa tylko jego zaświadcza, że najpóźniej z XVI wieku pochodzić może. O fundacyi tego kościoła żadnych też śladów tak w aktach kościelnych, jakoteż i w archiwum magistratu niema. Tradycya tylko miejscowa utrzymuje, że wystawili go Aryanie, co na żadną wiarę nie zasługuje, zważając iż tu Aryanów nigdy nie było, a zresztą podanie to zwykle przywiązane jest do wszystkich u nas starych gmachów kościelnych, tak jak wszelkie nasypy ziemne są okopami szwedzkimi. To tylko pewna, że parafia tutejsza, zdawna istniejąca, obsługiwana była przez świeckich księży, a dopiero w r. 1763, za staraniem księcia Czartoryskiego biskupa poznańskiego, wraz z całym funduszem do niej należącym wcielona została do kościoła księży franciszkanów przedtem w Pyzdrach istniejącego, którzy nabożeństwo jakoteż posługi parafialne obowiązani byli wypełniać i dotąd takowe wykonywają. Kościół ten w r. 1768 ze wszystkimi zabudowaniami razem z miastem zgorzał; następnie w roku 1806 z gruzów podźwignięty i z wielkim kosztem odbudowany, znowu w następnym roku z większą połową miasta przez pożar zniszczony został. Przyprawiono go wprawdzie we dwa lata potem do lepszego stanu, tak iż się nabożeństwo odprawiać w nim mogło; obecnie atoli cała świątynia chyli się do upadku i spiesznego wymaga ratunku. Jest to budowla obszerna, wspaniała, wewnątrz jednak niema nic osobliwego. Z powodu niedostatku ratusza; zegar miejski na wieży tego kościoła jest osadzonym.

Za tym gmachem, zaraz na dole, jest niewielki kościółek pod wezwaniem św. Ducha, zwany tutaj prebendą lub kościołem szpitalnym, założony w r. 1290 przez księcia Przemysława, a następnie po swym upadku z upływem czasu nanowo wymurowany w roku 1777 przez księdza Majsę proboszcza tego kościoła, za przyczynieniem się w znacznej części zgromadzenia kanoników regularnych grobu Chrystusowego, czyli Bożogrobców Miechowitów, którego wspomniony książę był członkiem. Niegdyś bowiem stał przy nim szpital, będący pod zawiadywaniem Miechowitów; lecz gdy kościółek wraz ze szpitalem w r. 1807 pogorzał, a zgromadzenie suprymowano, wyreparowany później kościółek, przyłączony został wraz z funduszami do parafialnego i oo. franciszkanom oddany.

LISTY Z ULICY NOWY-SWIAT.

I.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie? co to będzie?

Mickiewicz, Dziady, część IIga.

„Ciemno wszędzie? Niekoniecznie, powiesz, łaskawy czytelniku. A toć przecież oświatę i oświetlenie spotykamy na każdym miejscu, na każdej ulicy. Nie brak

nam szkół, nie brak latarni gazowych. Dlaczegoż więc występować z tak mizantropijnym, acz sławnym w dziejach literatury naszej wierszem? Prawda, jest w tem cokolwiek słuszności; muszę się przeto wytłumaczyć z obranej diewy.

Czynu! pracy! woła cały świat dzisiejszy; ale cóż z tego? wszystko kończy się na krzyku. Czasami błysnie fajerwerk, piękny na pozór, świetny barwami, wyleci w górę parę szmermeli, a po chwili znowu ciemno, znowu głucho. Co to jest? czy świat zużył się już w pracy serdecznej? czy już nie jest zdolnym wydać ze swego łona czegoś, co by mu nadało najniejszy kierunek w dalszym postępie dziejowym, co by go sprowadziło na wyraźniejsze ścieżki? Postęp! wołają wszyscy, świat jest na drodze postępu! Lecz pytam was, na Boga, gdzie widzicie ten postęp? Czy w ulepszonych narzędziach do wytępienia rodu ludzkiego? czy w nowych maszynach, robiących wszystko za człowieka? Gdzie widzicie ten postęp? Czy w tym że od dawnego czasu świat kamieniuje każdego, co jakimś wyraźniejszym namaszczeniem obleczone, przyszedł w poważniejszej szacie na codzienne bachanale? Gdzie postęp? pytam was, odpowiadajcie! Ciemno, głucho wszędzie, wołają tłumy niewiedzące gdzie dłoń wyciągnąć, gdzie szukać zarobku. Intelligencya, rozum potężnymi krokami zbliżają się do najwyższych szczebli udoskonalenia; ale intelligencya dzisiejsza jest maszyną rozumu. Intelligencya dzisiejsza, to jakiś automat angielski, poruszający się według wszelkich zasad mechaniki fizycznej, lecz mechanizmu duszy i serca brak w nim zupełnie. Nauka w dzisiejszym znaczeniu nie odpowiada swemu zadaniu, bo tej nauce brak powiązania z życiem, a siła jej jedynie na łączności z stosunkami bytowymi polega. Huk, pisk, szum maszyn wodnych i parowych rozlega się po całym globie, nowe wynalazki, nowe odkrycia pędzą w ślad jedne za drugimi, a doganiając się, wydają najświetniejsze w praktyce rezultaty. Europa stała się jednym Buckinghamem. Myśl pracuje, wiruje w głowach tysięcy przemysłowców, prowadzi telegrafy nad Amur, świdruje Alpy, przekopuje Suez, skraca odległość, zwalca przestrzeń i czas. Patrzcie i zdumiewajcie się! Dlaczegoż jednak świat podobny do dziecka ze snu zbudzonego, do zawiedzonego marzyciela? dlaczegoż świat ten kreśli się w błędnem kółku, ni miejsca znaleźć, ni rady sobie dać nie umiejąc? Systemata filozoficzne poruszyły cały organizm społeczności, wykazały cel bytu, zadanie życiowe mass i osobników pojedynczych, a w końcu pozostały... w księgach in folio. Co na tém zyskała ludzkość? Trudne zaiste i bardzo ciekawe do rozwiązania pytanie.

Racyonalność, oto dźwignia i podstawa dzisiejszego porządku w społeczeństwie, oto władczyni obecnego postępu. Dzisiaj nie pytają o serce i sumienie, pytają o rozum. Bądź złym, krzywdź drugiego, ciągnij niedozwolone korzyści z otaczających ciebie, z całego koła społecznego w którym żyjesz, nie dbaj o Boga, o bliźnich, zatykaj uszy na okrzyki niedoli, będąc bogatym, wydrzeź ostatni grosz z sakwy biedaka, — ale miej tylko ten olej w głowie, żeby nie stracić nazwy porządnego człowieka w towarzystwie, a będzie ci się dobrze działo we wszystkim. Kochaj świat całym sercem, całym zapalem najszlachetniejszych uczuć, — ale jeżdź z drogi praktyczności, nie staraj się o nabycie dóbr doczesnych, nie dbaj o względy światowe, a mozesz być pewnym że nikt cię słuchać nie będzie, lub posłuchawszy, wzruszy ramionami i półgłówką ochrzci mianem. Idźmy dalej.

Czy widzicie tego młodzieńca? Rodzice dawno mu umarli, lub ograniczeni w środkach materialnych, nie mogli go wychować odpowiednio swym życzeniom. Ale młody człowiek, ożywiony jakąś iskrą Bożą, zapragnął nauki. Przyszedł piechotą do miasta i wystarał się o korrepetycyę, co znaczy zwykle, że zobowiązał się uczyć jednego lub kilku uczniów z klas niższych czytać, pisać, rachować i bajek na pamięć, zobowiązał się ślepyć nad niemi po kilka godzin dziennie, a za to wolno mu zjeść obiad i przespąć się w jednym pokoju z paniczami. Oto czy taki korrepetytor ma czas nauczyć się swych lekcyj, czy ma czas popracować nad własnym wykształceniem? o to nie pytano, nie wiedzano nawet że wypada zapytać. Przy takim składzie okoliczności młody człowiek dźwigał się jednak o własnych siłach, kierował się samodzielnie. Nauczyciele nie wskazywali mu źródeł, szkoła dawała suchy tylko wykład. Czyż na tém mógł poprzestać? Duch jego rwał się do czegoś innego: chciał poznać świat, chciał mu się przypatrzeć wszechstronnie, chciał widzieć jak ludzie w życiu wyglądają. Skrepowany smutnym swym położeniem, chwycił książki jakie mu w rękę popadły. Sue i Lammenais, Kock i Rousseau, Wolter i Trentowski, Goethe i Virey, wszystko to jedno było dla niego; dusza potrzebowa-

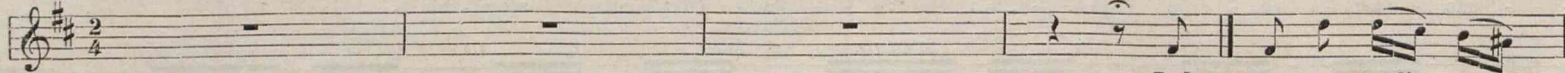
LIRNIK.

Słowa M. N. z za Daszowa.
Muzyka Ludwika Grossmann.

(NA NIZKI GŁOS.)

Wolniej.

GŁOS.



Pod krzy-żem, z li - - - rą
Gdy ka - żą, du - - - mę
Nie - - - dłu - go dzie - - - dek

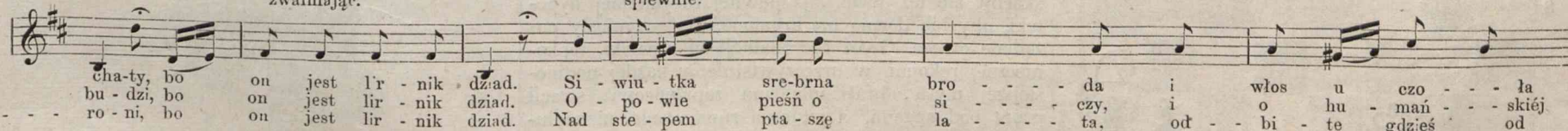
Przegrywka.

Niezbýt prędko.



zwalnijając.

śpiewnie.



w du - szy snadź swo - bo - - da, choć smu - tne dnie tu - la - - cze, a du - ma z li - rą
w koń - cu sła - wnych li - - czy, we - - stchną - wszy gło - - wą chwie - - je i w o - ku ła - ja - -
- - - mo - tnie po - śród świa - - ta, za - - lo - - śnie coś szcze - bio - - ta bo pta - szej snadź sie - -

bardzo zwalniając.

pla - - cze, bo on jest lir - nik dziad.
- - - śnie - - je, bo on to lir - nik dziad.
- - - ro - - ta, jak sta - ry lir - nik dziad.

ZAKOŃCZENIE.

Niezbyt prędko.

ła wrażeń, a młody człowiek nie zdawał sobie rachunku z tego co czytał, mieszając wszystko w głowie w najdziwniejszy chaos, który ostatecznie stał się przyczyną jakiegoś nienaturalnego rozkładu myśli, odciął go od świata i uczynił mu go niezrozumiałym. Na tym punkcie umysłowego rozwoju młodzieńca, następuje walka rozumu i serca, rzadko bardzo zakończona rozejmem: zwykle jedno lub drugie bierze górę.

Jeżeli serce otrzymało plac bitwy, młody człowiek chce widzieć odrazu ziszczonymi swe ideały, wysnione w marzeniach różanych, chce widzieć świat do-

skonałym, czuje jego zdrożności, radby je usunąć i rzuca się, nieprzygotowany do tego należycie, na pole czynu. Niestety! czyny jego, acz serdeczne, acz płynące z najszlachetniejszych zdrojowisk ducha ludzkiego, nie mogą wyjść na świat w pożądanym formie, nie mogą sprawić skutku wymarzonego. Bo młodemu człowiekowi brak podstawy do czynu, bo mu brak doświadczenia, nauki gruntownej, obeznania się ze światem jakim on jest w rzeczywistości. Młodzieniec poznał go jedynie w kształtach podanych przez tego lub owego pisarza, a pojęcia jakie urosły w młodej głowie, zgorączkowanej wrażeniami książkowymi, niekoniecznie z rzeczywistością się zgadzają. Cóż się więc dzieje? Oto młody nasz apostoł wiary, doskonałenia się społecznego, przyjęcia form zgodniejszych ze wzniosłym przeznaczeniem ludzkości, po kilku nieudatnych próbach wpada w odmęt, z którego nie tak łatwo później się wydostać, poświęca siebie dla zbawienia ludzkości, ale ludzkości nie zbawia, a sam idzie w poniewierkę. Zapal, poświęcenie się, są to wielkie skarby, ale też wymagają pewnej racjonalnej hipoteki, aby ich darmo nie uroniono, by przyniosły pożądane owoce. Owóz racjonalnej tej hipoteki, tej koniecznej rękojmi w urzeczywistnieniu każdej podniesłej myśli, brak młodemu zapaleńcowi; stracił grunt pod nogami, a sztuczna równowaga nienadługo wystarczać mu może. Ztąd rodzi się w nim niepewność w jaki sposób należy krok następny postawić, a pozbawiony podpory, jakąby praca gruntowna, naukowa podać mu mogła, robi salto-mortale i najczęściej łamie obydwie nogi. Biedny reformator społeczeństwa, okulawiony w pierwszych swych zapędach, jęczy na łożu boleści, wyrzeka na ludzi, na cały świat go otaczający, na swe losy nieszczęsne, ale rzadko już kiedy zawraca się z drogi obranej, szukając ulgi u lekarza mianującego się jednym wyrazem: „rozum.“

wszystko, zdolności, rozum i serce,—dla świata nie nie pozostało. Został mechanikiem, chemikiem, doktorem, ale nie potrafił stanąć na stanowisku obywatela. Życie jego wypełniło się w jednym kierunku, a tymczasem, przy coraz nowych stosunkach, zjawiają się i drogi nowe, na które wejść nie potrafi, lub wszedłszy, błąka się w labiryncie najniedorzeczniejszych mrzonek. Ztąd ciągły kłopot, coraz nowe przeciwności, których usunąć nie potrafi.

Spojrmy jeszcze na trzeci obraz mimowoli nasuwający się nam przed oczy. Młody człowiek chciał

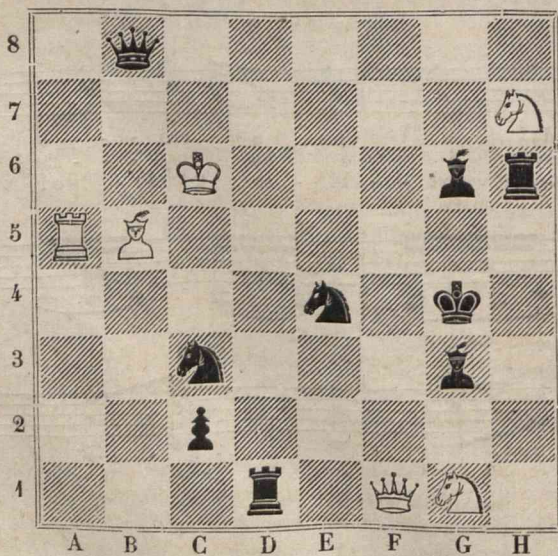
(Ob. dod.)

SZACHY.

ZADANIE CXLVIII.

(J. B. z Grodna). (*)

Białe zaczynają i dają mata za piątym posunięciem.
Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 147.

Białe.

Czarne.

- | | |
|---------------------------|-----------------------------|
| 1) B 1—E 1 . . . | 1) D 2—E 1 białą (królową). |
| 2) D 8—D 4 . . . | 2) Jakkolwiek. |
| 3) D 4—A 4 † . . . | 3) B 5—A 4 białą. |
| 4) B 3—B 4 † . . . | 4) E 1—B 4 białą. |
| 5) A 3—B 4 białą † i mat. | |

(*) Piękną tę końcówkę polecamy zwolennikom gry szachowej.

R E B U S.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 182.

Wszelkie dusze są wewnątrz, tchórz jeden tylko ma duszę na ramieniu.

Dodatek).

wykształcić się ogólnie, nie wiedząc czy zapomniawszy o niemożności wiedzy powszechnej. Więc łapał dzieła różnej treści: matematyka i belletrystyka, filozofia i nauki przyrodzone, prawo i medycyna, historia i nauka gospodarstwa, wszystko to było przedmiotem jego studyów, w których pomagał sobie jeszcze encyklopedyą powszechną lub dykcyonarem Bouilleta. Cóż się z tego wyrodziło? Oto nie mogą mieć o niczym należytego wyobrażenia, zdolny jedynie powodować się cudzym zdaniem, przychodzi w końcu do przekonania że nie nie umie, że wiadomości encyklopedyczne nie na wiele mu się przydały; wpadł w próżnię, brak mu światła, brak powietrza do życia.

Wszyscy owi młodzieńcy wołają: „głucho wszędzie, ciemno wszędzie.“ A jednak byli to jeszcze wybrańcy z pomiędzy swych rówieśników, bo mieli zapał, bo czuli w sobie chęć do pracy i poświęcenia się; brakło im tylko gruntownych zasad, moralnych i naukowych, na których wsparci, mogliby przynieść dla ogółu prawdziwy pożytek, a w sercu swym znaleźć szczere zadowolenie.

Jednym z najskuteczniejszych środków zaradzenia temu brakowi, byłoby przyswajanie z obcych języków dzieł treści poważnej, naukowych, w większej jak dotąd ilości. Gadanina że chcący czytać podobne dzieła zwykle umieją po francuzku, niemiecku lub angielsku, jest częścią i na żadnej rozumnej podstawie nie opartą. Spójrzmy tylko na kraje ościenne: wszakże tam wszystko, co tylko błysnęło jakąś żywotniejszą myślą, przelaną w głoski drukowane, bez względu w jakim napisane było języku, zjawia się zaraz i w języku narodowym. Nie idzie za tem, aby wszystko czytać w tłumaczeniu, owszem najmocniej jestem przekonany, że aby poznać wszystkie odcienia myśli autora, należy go czytać w oryginalu. Nadto i z innych jeszcze względów znajomość języków obcych, dla każdego ukształconego człowieka nieodbitnie jest potrzebna; ale należy tu zwrócić uwagę na tych, którzy pośród zajęć chlebowych nie mają czasu poświęcać się nauce obcych języków, a jednak radziby kształcić się wszechstronnie w obranym zawodzie. Dla takich tłumaczenia są koniecznymi, tacy w żaden sposób obejść się bez nich nie mogą.

Uwagi powyższe nasuwają mi się na myśl, ilekroć spojrzę na młodzież serdeczną, chętną do pracy, a narzekającą na brak dzieł, traktujących o ich przedmiocie w ojezystej literaturze. Czas wielki by ludzie w tym względzie kompetentni, chcieli udzielić swęj pomocy, któraby im za wielką dla kraju zasługę policzoną była.

Przejdźmy jeszcze do odrębnej z pozoru, niemniej jednak ciekawej sfery dzisiejszej społeczności, zwróćmy uwagę swą na młodzież próżniaczą, żyjącą bez celu z dnia na dzień, nietroszczącą się o przyszłość, a przecież dość niestety liczną w stolicy naszej, czego jasnym dowodem cukiernie i kawiarnie ulic i uliczek Warszawy. Spaczne wychowanie, brak zajęcia, wymykanie się bezustannie od niego, marnowanie daremne od lat najmłodszych czasu, oto główne tej plagi przyczyny. Majątek już dzisiaj nie pod tym względem nie znaczy. Dawniej przyszły tylko dziedzic znacznej fortuny, budując nadzieje na ojcowskich dobrach, trwonil grosz niezarobiony przed czasem, często nie mając go jeszcze w ręku. Dziś rzeczy się zmieniły, zaraza rozeszła się do niższych szczebli społeczeństwa, owaładnęła temi nawet, którzy powinni dobrze pracować, by zarobić na dzienne pożywienie. Chęć nadsadowania paniczów, żądza przedstawienia się przynajmniej na ulicy czemś więcej aniżeli się jest w istocie, wszystko to, łechtając próżność indywidualną, wpływa znakomicie na pomnożenie tej zgrai pasożytów. Żebyż jeszcze przynajmniej na te blichtry powierzchowne chciano popracować serdecznie; ale dzieje się zwykle zupełnie przeciwnie. Rodzice biędni, ciężko pracujący na dzienny dorobek, chlęb od ust nieraz zmuszeni odejmować, by zadowolić wymagania synka, a grosz przesłany przez nich na konieczne niaby potrzeby, najczęściej rzucały bywa w błoto, brudniejsze od warszawskich kałuży. Choroba ta w ostatnich czasach nieco się zmniejszyła, nie przestała wszakże być epidemiczną i tysiące ofiar pociąga do grobu moralnego. Zepsucie, raz zaszczepione, coraz smutniejsze następstwa w ślad wlecze za sobą. Przy takich filarach, w społeczeństwie i ciemno i głucho koniecznie być musi.

Wylizyliśmy tu kilka tylko plam i fałdów w dzisiejszej społecznej szacie. Wielkiego starania i mycia potrzeba, by zamienić ją na gładką i białą. Skreślone przez nas typy pochwyte są dorywczo, jak tu i owdzie znaleźliśmy je pod ręką; nie zajrzeliśmy jeszcze do dusz, nie zbadaliśmy umysłów, nie roztworzyliśmy serc i nie odkryliśmy światu wszystkich żądź i namiętności, łez i śmiechu, radości i goryczy, wspomnień i westchnień, co sobie w tej komórze bo-

ku lewego siedlisko znalazły. Ciężka to praca i poświęcenia się wymagająca, w imię jednak Boże do niej przystąpimy.

Świat dzisiejszy wydaje mi się podobnym do Romy upadającej, a do podnoszącego się chrześcijaństwa. Brzenienny potężnymi wypadkami, sył sławy i próżności, chwały i blasku, w konwulsjach jakim podlegał, poruszył zarodek nowych myśli, przekonań i wyobrażeń. Stare formy świata, za szczuple by pomieścić w sobie mogły noworodzącą się istotę myśli, pękają i odłupują się pomału, zanim stanowczy wzrost idei nie skruszy ostatecznie starego społecznego naczynia. Otóż my, żyjąc w tej chwili psucia się starego porządku, stariej materyjalnej strony świata, nie wiedząc jeszcze jakie kształty świat ten przyjąć będzie zmuszony, patrząc na upadek zużytych wyobrażeń, a z drugiej strony dążąc do jaknajprędszego urzeczywistnienia idei, co swemi ramionami objęły serce ludzkości — poczuwamy w sobie z jednej strony przesylenie śród psującego się świata, z drugiej tęsknotę, rodzącą się na myśl o szczęśliwszej przyszłości. Przesylenie i tęsknota, oto główne cechy obecnego stanu umysłów.

Z takiej wychodząc zasady, łatwo będzie zrozumieć dlaczego sławny ów wiersz wielkiego poety położyliśmy jako dewizę pierwszego listu. Należy nam teraz poszukać głębiej w sercach i umysłach rozmaitych ukrytych sprężyn i kółek, na których mechanizmie bądź to opiera się dzisiejsza społeczność, bądź rozpoznać się powinna przyszła idea ludzkości. Zmuszeni będziemy, dla jasności przedmiotu, przejść od powierzchownych rysów człowieka do jego duszy, rozpatrzyć jej władze i zdolności, o ile te na mocy zewnętrznych przejawów rozpoznać się dadzą. Mniej lub więcej pilne badanie na tej drodze, bywa zwykle częścią dzieł poważnych, wyłącznie temu celowi poświęconych. Mamy jednak nadzieję że nakreślić tu zdołamy jeżeli nie obraz starannie wykończony, to przynajmniej szkic zgodny z rzeczywistością, zaspokajający choć w części życzenia czytelników.

A. K. Łz...ki.

HERAKLESOWE DROGI.

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Dalszy ciąg.)

Na drugi dzień jeszcze ciemno było, gdy ze statku przewozowego dano znak strzałem do odjazdu. Pośpieszył na statek, złożył rzeczy w kajucie i wybiegł na pokład, pożegnać jeszcze Wenecyą, która z cieniów wstawała; ale jakież było jego zdumienie, gdy między osobami na pokładzie usłyszał ten sam głosik, co go tak zaintrygował wczoraj:

— Mamo, mamo! patrz, teraz jeszcze róg pałacu dożów. Oh, już znikł, rzekła ze smutkiem, patrząc w tamtą stronę.

Mama przez lornetkę patrzyła także, aprobując zdanie córki ciągłymi wykrzyknikami: ach prawda! oh, mon dieu! i t. d.

Leon mógł się im teraz lepiej przypatrzeć. Panienska była jedną z piękności uderzających zaraz na pierwszy rzut oka. Wysoka, gietka, twarz biała, której białosc ciemne rzęsy potęgowały, oczy, nie skłamię jeśli powiem że oczy miała tak fioletowe, że się zdawało iż pachnąć muszą. Do tego bogate zwoje jasnych włosów wieszwały się w kolo tej słicznej twarzy, na którą padał cień kapelusika czarnego, aksamitnego. Mama była jeszcze dość młodą i dość przystojną, ale w tej młodości i przystojności czuć było sztukę. Nie ręczę czy przed toaletą byłaby równie młoda i ładna. Gęste czarne włosy były podejrzanego pochodzenia, na brwiach trochę proszku czarnego dostrzedz można było. O reszcie nie powiem. Mowa jej i ruchy były przesadne, wymuszone, nieco egzaltowane. Z paniami temi był mały chłopczyk i jego nauczyciel, który w tej podróży zapewne pełnił obowiązki wyręczyciela, a w chwilach wolnych od zatrudnień prawil komplimenta pani samej, których ona dość chętnie słuchała.

Podczas sześciogodzinnej podróży, Leon poznał się z niemi. Znajomość wśród obcych, a do tego na statku, dość łatwo się zawiązuje. Rozmowa toczyła się w zwyczajnych ogólnikowych zapytaniach i odpowiedziach, w czem panna mało brała udziału. Napół zwrócona ku morzu, latała oczami po nikiących brzegach, co Leona trochę drażnić i niecierpliwie poczynało.

— Pan zapewne z Warszawy? zagadnęła pani G.

— Nie pani, z Krakowa.

— Mój Boże! powinnam się była tego domysleć. Wy panowie Krakowiaci macie coś w obejściu się i w manierach, co was bardzo odróżnia od innych.

— Więcej z chłopka jesteście zakrojoni, rzekł z lekkim uśmiechem Leon. W Warszawiakach czuć stolice. A panie ząd? jeżeli wolno spytać.

— My z Galicyi, z Jasielskiego. Nie wiem czy panu okolica znajoma...

— Nie byłem tam jeszcze, ale wiem że to słiczne miejsce....

— My je cokolwiek inaczej znajdujemy, a szczególniej moja Aniela. Jęj poetycznej duszy nie wystarczy Jasielskie, ona by chciała coś takiego jak Włochy, jak Wschód....

— Piękny jest Wschód, przynaję; ale jabyłm wołał Kraków. Piękne są palmy, ale cóż kiedy po polsku nie rozumieją. Pani się śmieje, a przecież tak jest, że zachodzi dziwne pokrewieństwo między ludźmi i naturą co ich otacza. Panie może widziały Wschód w powieściach francuzkich; jam go się dotknął zblizka i mogę zareczyć że tak jest....

— Jako, pan byleś na Wschodzie? spytała z zajęciem matka, a córka odwróciła się twarzą ku Leonowi i z większym słuchała zajęciem.

— Ledwie kilka miesięcy, pani dobrodziejko.

— To pan pewnie podróżował dla przyjemności, dla dokończenia edukacyi?

— Dla sztuki pani.

— Więc pan artysta? rzekła wysokim sopranem mama.

— Rzeźbiarz, do usług pani.

Córke żywy oblał rumieniec, oczy jej zasły jakas lekką mgłą, jak szkło od chuchnięcia, i z zajęciem patrzyła na artystę.

Rozmowa przeszła naturalnie na pole artystyczne. Leon podziwiał musiał trafność sądów panny Anieli.

— Pani zapewne wiele dzieł sztuki widzieć musiała?

— Nie panie, czytałam tylko o nich....

Statek zbliżał się już do Tryestu.

— Pan dziś odjeżdża z Tryestu? spytała pani G.

— Tak pani.

— Jakaż szkoda! My jeszcze tydzień zatrzymujemy się w Tryescie.

Leon począł żalować, że się tak nagle wyrwał z odjazdem, ale cofać się nie chciał, choć fioletowe oczy tak głęboko patrzyły w niego, że się mieszać musiał.

— W Krakowie spodziewaj się nas pan w swojej pracowni niezadługo, bo my często bywamy w Krakowie, rzekła pani G. przy pożegnaniu.

Pan nauczyciel, który z chłopczykiem odszedł na bok dla kupienia kwiatków, zbliżył się właśnie i z układną miną podał obu paniom bukiety.

— Zawieź pan tę różyczkę dla Krakowa, rzekła płonąć Aniela, podała mu różę i tak szybko odeszła, że nie miał nawet czasu podziękować.

Z różyczką, z rozmarzoną głową, wrócił do Krakowa. Było to w roku 1850. Połowę miasta zastał w gruzach po strasznym pożarze; hrabia z Zosią wyjechali na wieś, siostra jego poszła do klasztoru. Próžno pan Fritz perswadował i przekładał, że dziewczyna z majątkiem nigdy do klasztoru iść nie powinna, że może zrobić dobrą partya: Helenka, czy przestraszona smutnym przykładem matki, czy z wrodzonego usposobienia, prosiła ojca o to ciche klasztorne życie, aż w końcu i uprosiła.

— Głupie dziewczyny, mówił pan Fritz, w matkę się wrodziła. Niech ją djabel....

Ale długo nie mógł strawić tego. On się spodziewał resztę dni spędzić to przy niej, to przy synu, bo z wiekiem coraz więcej czuł swoje osamotnienie, coraz bardziej potrzebował dzieci. To też z tem większą radością witał syna, ze łzami prawie. Dla każdego śmięsznym mogło się wydawać przywitanie pana Fritza, tylko nie dla syna. Ojciec oglądał go ze wszystkich stron, próbował w palcach materyą na jego surducie, pytał wiele dał za niego; potem znów płakał, opowiadając mu jak on tu sam żył. Po chwilce pytał syna z poważną miną, wiele pieniędzy wydał, z jakimi panami żył i t. d.

— Więsz Leon, o ciebie piszą w gazecie. Mnie dwóch panów pytali o ciebie i sciskali za rękę jakieś wielkie panowie, co po francuzku mówili. Ale, ale, oni mi mówili, Leonku, że jeżeli ty chcesz wslawić się i stanąć dobrze i mieć zysk, to ty powinien swój warsztat otworzyć.

— To nie tak prędko nastąpi, mój ojczu, na to trzeba pieniędzy. Wprzód u innego popracuję.

— Broń Boże, ja ciebie będę pożyczyc, a ty mi oddasz jak się dorobisz, albo się bogato ożenisz. Więsz co Leonku, ty się musisz w dobry dom ożenić i bogato, bo ty wart tego.

W ten sposób mniej więcej odbyło się powitanie ojca z synem.

— Czy hrabia nie pisał do ojca ze wsi?
 — Owszem, owszem na delikatnym papierze i pisał mi: wielmożny pan Fritz.
 — Chciałbym go odwiedzić, jeżeli to niedaleko...
 — O, daleko i zła droga. On tu będzie w lato na przyszl rok... Ale słuchaj, jest tu list od Julka.
 — Jest? zawołaj z radością Leon; od czasu bowiem wyjazdu swego, ledwie dwa listy odebrał od Julka, i to bardzo krótkie. Julek tłumaczył się mnogością zatrudnień, wizytami i t. d.; co wcale nie złagodziło przykrego wrażenia, jakie te listy na Leonie zrobiły. „Ha, powiedział sobie, trudno dobijać się o przyjaźń, o którą nie proszą.“ I przestał pisywać, bolejąc nad tem, że przyjaźń tylko w bardzo młodych latach udać się może, a potem niszczy. Z tem większą więc radością pochwylił za list, ucieszony że Julek pierwszy do niego się odzywa po tak długim czasie. Wziął pismo z rąk ojca, ale pierwsza rzecz która go uderzyła, był to herb na kopercie. Pod herbem dwie litery Julka.

— Czy i on tak zmalował, pomyślał sobie, że aż musi się chować za znaczki herbowe i zasłaniać niemi przed światem? Nie, to nie Julek chyba pisze. Rozlał małą pęczką i poczał czytać. List był datowany sześć miesięcy przedtem z Marsylii i zawierał te słowa:

Kochany Leonku! Dawno już nie pisałem do ciebie, bo i czasu i sposobności nie było, a do tego nie wiedziałem gdzie się znajdujesz. Teraz piszę, bo domyślałem się żeś już wrócił. Polecam ci oddawcę tego listu, pana Dove, jadącego do Petersburga. Jest to mój dobry przyjaciel; obznajmij go z Krakowem, który już przez pół zna z moich opowiadań. Ja tu pracuję bardzo wiele, lubo i wizyty jakie oddajemy i odbieramy ze stryjosstwem dużo mi czasu zabierają. Kiedy powrócę do kraju, nie mogę na pewno powiedzieć. Napisz mi co o sobie. Na tem kończę, bo pan Dove już odjeżdża. Bądź zdrow i pamiętaj o mnie. Twój Julek.

Leon długo po przeczytaniu tego listu stał przy oknie zamyślony, mnąc papier w rękach. Po tak długiej rozłące odebrał od przyjaciela znowu tylko świstek pobieżnie pisany i to w jakim celu? aby z niego zrobić cicerone dla jakiegoś Francuzika. Zmarszczył się i podał list.

— Co ty robisz, Leonku? co cię tak rozgniewało?

— Nic, nic, ojczu. Dawno tu był ten pan?

— O, bardzo dawno, i bardzo porządny pan. Nie mogłem z nim nic mówić, bo tylko po francuzku mówił.

Takie nowiny i zmiany znalazł Leon za przyjazdem do Krakowa. Wypocząwszy nieco z podróży, zajął się urządzeniem swój pracowni. Pracowity i pilny, do tego mało z kim żyjący, zawiedziony w przyjaźni, w pracy szukał zadowolenia i szczęścia. To też niespełna w kilka miesięcy pracownia jego zapełniła się pięknymi pomysłami z gipsu i z gliny. Parę większych robot wykonanych z kamienia zwróciło na niego uwagę. Począł nabiierać wziętości i miał już kilka zamówień na roboty w marmurze. Pan Fritz rósł tą chwałą syna i był jej najzagorzalszym trębaczem, co synowi nieraz rumieniec wstydu na twarz wywoływało. I tak, kiedy syna nie było w domu, a goście przyszli oglądać jego prace, ojciec jak cicerone wodził ich ukontentowany i powtarzał zalety każdego pomysłu, które na pamięć umiał, a ciągle dodawał:

— To mój syn, to moje szeczko robi. Bo też ja płacił na niego... Ale cóż, kiepskie czasy, roboty nic. A może państwo ma jakiego nagrobka zrobić? on się tanio będzie zgodzić...

Podobne mowy rozsądniejsi przyjmowali milczeniem, inni złośliwym uśmiechem.

Tak stały rzeczy aż do chwili, w której chcąc zytelników swoich wprowadzić do pracowni Leona.

Było to rano. Leon w bluzie, z dżutem w ręku, stał na schodkach i wykończył posąg z marmuru, mający stać na grobowcu w kościele. Posąg wyobrażał młodą niewiastę, klęczącą z twarzą podniesioną w górę. Mysł artysty widocznie promieniła z tego posagu i mówiła za niego. Widno że niewiasta ta, złamana boleścią i smutkiem, więcej upadła niż ukłękła na ziemi i z bólu zacisnęła ręce; ale w oczach zwróconych w niebo z modlitwą, widać już pociechę, widać zachwyt i zapatrzenie się w życie za grobem; na bolesnej twarzy niewiasty widać odbłask innego światła, a palce zacisnięte z bólu podnoszą się już do modlitwy dziękczynnej. Taka była myśl posagu. Do tego dodać trzeba, że tę myśl umiał artysta ubrać w cudne kształty, w bogatą a przecież naturalną draperyę. To też posąg ten ściągał mnóstwo ciekawych i znawców.

W tej chwili Leon przykładł ostatecznie dżuto do posagu i siłił się nad wyrażeniem w oczach tej chwili, w której muszkuly nad brwiami, ściągnięte bólem, wolniej i pogodniej. Obok niego leżał otwarty list, widać dopiero co rzucony. Był to list od hrabiego. List ten przyniósł lokaj z hotelu od krewnej hrabiego,

go, która rzeźbiarzowi zapowiedziała swoją wizytę na godzinę dwunastą. W liście tym donosił hrabia Leonowi, że dla słabości wnuczki będzie musiał zostać jeszcze czas jakiś na wsi i dopiero może na zimę do Krakowa przyjedzie. Poleca w końcu Leonowi żonę swego brata, która osiadła ma w Krakowie, dla edukacji syna. List cały był pełen troskliwości o zdrowie i powodzenie Leona. U spodu listu drobnymi literami wypisane słowa Zosi: „do widzenia“ i zaszczona rezeda. Leon przeczytał list i myśląc o pocziwym hrabi i jego wnuczce, kończył robotę. Człuj jakąś dziwną trwoję, jakiś przecuciowy niepokój, którego sobie niczem wytłumaczyć nie umiał.

Po dwunastej otwarły się drzwi pracowni i weszły dwie panie, młody chłopczyk i jego nauczyciel. Leon mało nie spadł ze schodków z zadziwienia, poznawszy pannę Anielę.

— A co? o niesłowność nas pan posadzić nie możesz?— rzekła pani G. Mój szwagier tyle nam o panu naopowiadał, żeśmy niecierpliwie czekały wyjazdu do Krakowa. Cóż tu za bogactwo rzeźby, mówiła dalej lornetując w okno.

— Jaktó?— więc pani jest krewną pana hrabiego?— pytał Leon, patrząc na Anielę wzrokiem którym ją witał, pytał się o wiele i mówił jej wiele. Młodzi tak umieją streszczać duszę w oczach!

— Tak panie, rzekła Anieli, i mieszkamy nawet blisko siebie. Nieraz o panu mówiliśmy z Zosią. Wiele miłych wspomnień zostawiłeś pan u ojca i córki. I mówiąc to, badawczo spoglądała na Leona, jakby mu chciała do dna spojrzeć w duszę i wyczytać czy tam niema tajemnicy, której się bała. Leon patrzył spokojnie, szczerze.

— No, pokażcie nam co, panie artysto— mówiła pani G., bo my tu zginiemy bez przewodnika w tej massie medalionów, figur, posagów.

Leon oprowadzał je po sali, tłumacząc i opowiadając, a najwięcej zwracał mowę do Anieli, która także w mówiącego miała utkwione oczy.

— A to kto? spytał naiwnie nauczyciel.

— To Samson, rzekł Leon.

Pani G. spojrziała na Samsona, ale wnet się odwróciła.

— A fi done, czemu nie w płaszczu?

— Grecy nie w płaszczach nie robili, rzekł prędko nauczyciel, chcąc się popisać ze znajomością sztuki.

— A to moja ostatnia robota, rzekł Leon, zatrzymując się przed posągiem klęczącej niewiasty i odsłaniając go.

— Ah très joli, très jolil! mówiła mama.

Anieli stanęła przed posągiem, zapatrzona, onie miała; na twarzy jej widać było wzruszenie, bo rumieniec i bladość, jak światło i cienie, przechodziły po niej, a oczy zaskliły się łzami i zachwytem. Ścisnęła rękę matki, jakby w tej chwili potrzebowała się na kim wesprzeć, i cicho wyszeptala: Mamo, ja bym chętnie umarła, żeby taki posąg modlił się za mnie nad grobem.

Leon czuł się nie do opisanego szczęśliwym. Ten zachwyt młodej dziewczyny, starczył mu za wszystkie pochwały.

— Nic tu nie widzę greckiego, wtrącił znowu nauczyciel.

— Bo to nie Greczynka, odpowiedział krótko Leon.

— No Anielciu, rzekła matka do panny, która myślała jeszcze nie wróciła na ziemię, trzeba nam już pożegnać pana Leona, i tak dość czasu mu zabraliśmy.

Anielka opamiętała się, potarła ręką po białem czole i na pożegnanie podała ją artyście.

— Do zobaczenia, panie Leonie; spodziewam się, że pana niezadługo-u siebie ujrzemy.

— A bądź pan łaskaw, dodała mama, przysłać nam kilka konsolek i biuścików do ubrania salonu.

Anieli aż się skrzywiła na tę prozaiczną prośbę. Szczęściem że nie słyszała prośby pana nauczyciela, bo skrzywienie przeszłoby w burzenie. Pan nauczyciel bowiem, chcąc także coś obstałować w rzeźbiarni, żegnając pana Leona pytał: wieleby kosztowała puszcza na tytuł, z czarnego krajowego marmuru?

— Niech pan będzie łaskaw udać się z tem do moich ludzi, rzekł trochę urażony Leon i odwrócił się ku oknu.

Po odejściu Anieli długi czas pracować nie mógł. Czemu? może się zakochał....

IV.

Przyjaciele.

Trudno to wytłumaczyć literami na papierze, jakim sposobem poczyna się i rośnie miłość. Z początku małe jej iskierki, jak ogień po dopalającym się papierze, latają, elektryzują. Kilka głębszych spojrzeń, kilka słów więcej znaczących opęta myśl i serce; potem z tych

małych wątków rozsnuwa się długi, tęskny poemat miłości. Kochający patrzy na swoją kochankę oczami poety, co ideał stwarza; wszystko w niej piękne mu się wydaje, nawet wady. Błądą i schorowaną twarzyczkę nazwie białą i przezroczyszą; rumiane policzki porówna do róży, do malin; nawet czerwone włosy nazwie złotymi strunami lutni, na której będzie grał tęczowe poematy. Jeżeli panna flegmatyczna, nazwie ją marmurową, posagową; jeżeli przedka, kapryśna, nazwie ją rusalką, trzpiotką. Dopiero po ślubie te boginie zstępują z koturnu i często bardzo po ziemsku przemawiają, a im więcej było uludy, tem więcej rozczarowania. Czyja w tem wina? najpewniej obu stron. Mężczyźni nie chcą się kochać w pocziwych, prostych panienkach, szukają aniołów (oprócz tych, którzy posagu szukają); więc panienki na anielice kierować się muszą, choć na krótko, choć przed ślubem.

Musiąłem zrobić to małe zbrozenie, mając mówić o pannie Anieli. Panna Anieli wprawdzie nie kłamała anielstwa, poetyczności, ale to wszystko było u niej nienaturalne, nie przyszła do tego przez serce, jeno przez głowę. Książki zawróciły jej główkę, książki wykształciły w niej uczucie piękna; to też tylko to jej pięknem w życiu się wydawało, o czem w książkach czytała. Do tego dodać trzeba, że dobór tych książek nie był szczególnie dobry. Z tad wyrodziła się w dziewczęciu chorobliwa poetyczność, fałszywa egzaltacja. Marzyła o ruinach Palmiry, o nieprzebranych dziewięcioletnich lasach Ameryki, a obok naszych ładnych wiosiek, okolonnych brzożkami, przejeżdżała obojętnie. Płynąc łódką w księżycowej nocy po ciemno-niebieskiej Wiśle pod zamkiem, myślała o Wenecyi. Lubila namiętnie Cyganów, bo o ich dzikiem, oryginalnem życiu wiele czytała; aż kiedy stanęła przed nią raz banda Cyganów brudnych, obdartych, skowycząc u wrót o chleb i pieniądze, kiedy zobaczyła młodą Cygankę z rozczochranym włosom, z zaślinionemi ustami, z opuchlemi nogami, krzyknęła: fe! fe! i uciekła do pokoju. Przy tak chorobliwym uczuciu, nie będziemy się dziwić, że artysta zajął ją silnie. Rycerzy średniowiecznych już nie było na świecie, najpoetyczniejszym był jeszcze artysta. Ale mimo tej poezyi, panna Anieli była dość praktyczną, znała się na wszystkich praktykach panieńskich złowienia sobie męża i pierw nim pana Leona zaprosiła do siebie, wywiedziła się dobrze o jego stanie majątkowym, i długo z matką naradzały się, czy z Leona będzie dobry mąż. Czy go kochała? nie wiem. Egzaltowane panny umieją często kochać do szaleństwa. Ale co Leon, to ten już się na dobre zakochał. Do 25 roku nie wiedział co to miłość gorąca; żyjąc wśród posagów, sam skamieniał trochę ich spokojem. Myślał że tak zawsze będzie, że sztuka zajął mu serce i że dla niej tylko żyć będzie. Teraz poczuł że i artysta nie przestaje być człowiekiem, i jeżeli tylko ma serce, to ono musi choć raz w życiu uderzyć silną, gorącą miłością. Bywał więc często w domu państwa G., a lubo nieraz dojrzał w Anieli coś, co nie harmoniowało z tą Anielą jaką sobie wymarzył, choć czasem jedno jej słówko rozdzierało przeczołwa obsłonę i pokazywało puste wydrążenie, przecież zamykał oczy i uszy na to, poetyzował ją sobie i tłumaczył przed sobą.

Tak było przez dwa tygodnie. Właśnie przypadły imienniny matki Anieli; miał być u nich wieczór tańcujący. Wiele osób, z którymi pani G. prędko znajomości porobiła, było zaproszonych. Leon także.

Z bijącym sercem czekał tego wieczoru, myśląc o tem, czy Anieli wśród liczego zgromadzenia nie zapomni o nim, czy będzie dla niego taką jak zawsze. Był niespokojny, dużemi krokami chodził po pracowni, aż wreszcie, nie mogąc doczekać się wieczoru, wyszedł na przechadzkę. We floryańskiej ulicy spotkał kondukt żalobny. Od przechodzących dowiedział się, że to jeden z jego dawnych kolegów szkolnych umarł. Nie mógł ominąć obojętnie jego trumny, zwrócił się i szedł za orszakem ku cmentarzowi.

Podobna chwila nie była wcale dobrem przygotowaniem do balu. To też daleko od balu, od Anieli odbiegła myśl jego; był znów takim, jakim bywał na Wschodzie. Przymierzył dzisiejszą chwilę, na którą tak niecierpliwie czekał, na którą się cieszył, do tej wieczności, w jaką się przez trumnę przechodzi, i ta chwila już go tak nie nęciła do siebie, bo widział zaraz jej koniec, widział że i tysiące takich chwil drobnostką jest w obec trumny. Wpadłszy raz na ten smutny, cmentarny tór, szedł nim dalej i pomyślał sobie, czem będzie ta Anieli, taka piękna, za lat kilkadziesiąt? Starą kobietą, albo garstką kości. A dusza? On jeszcze nigdy nie pomyślał o duszy Anieli bez ciała. Teraz wyjął z niej tę duszę, przypatrzył jej się i spostrzegł z zadziwieniem, że mu się nie wydała tak piękną. Kiedy zaśpiewano „requiescat“ nad grobem, zapadł już zmierzch. Leon rzucił na trumnę kolegi

garsć ziemi, zmówił pacierz i poszedł zamysłony na wieczór.

Salony pani G. jaśniały rześnistym oświetleniem. Dostyc osób zastał już Leon zgromadzonych w salonie. Rozmowa toczyła się żywo w towarzystwie podzielonym na pojedyncze kółka. Pan nauczyciel usiadł do fortepianu i w gwar rozmowy rzucał czasem kilka taktów mazura, jakby kusząc do tańca. Pani domu jaśniała kosztownymi brylantami i urodą, która wieczorem tęp złudniej wyglądała. Leon wchodząc, ją najpierwszą spostrzegł i złożył jej swoje życzenia. W tej chwili wzrok przeleciał po sali i zatrzymał się na jednym miejscu. W załomie okna przy firance siedziała panna Aniela i rozmawiała z zajęciem z jakimś młodym, przystojnym blondynem. Leon, pomimo tego, że na ementarzu w ponurych kontemplacjach wyrozumował sobie marność rzeczy ludzkich, przecież poczuł trochę zazdrości w sobie o taką ładną marność, jaką była panna Aniela.

— Jakże się panu podobają te brylanty na głowie? spytała Leona gospodyni. — Przysłał mi je mój mąż, który sam przyjechać nie mógł, przez naszego sąsiada. A prawda, muszę cię z nim poznać, bo to poeta, więc także artysta.

I poprowadziła go przez salon wprost ku oknu, do owego blondyna, który tak zaintrygował Leona.

— Pan Leon S., rzekła, przedstawiając go tamtemu, — a to pan Juliusz P., nasz sąsiad.

Obaj młodzi ludzie spojrzeli na siebie. Lata zmieniły trochę ich twarze, jeszcze więcej ich serca. Czuli się sobie obcymi. Julek pierwszy przerwał milczenie i podając rękę Leonowi, rzekł:

— Znamy się już — kolegowaliśmy ze sobą.

Leon chciał być więcej serdecznym dla przyjaciela, ale nie mógł. Listy jego mu się przypominały; teraz zazdrość o Anielę go bodła i odpychała od Julka. Pani G. z córką odeszły do gości. Młodzi ludzie zostali sami, nie wiedząc od czego zacząć rozmowę.

— Ty dawno wróciłeś do kraju? — spytał Julek.

— Już rok prawie.

— I nie pisałeś do mnie.

— Nie wiedziałem gdzie...

— Prawda, nie pomyślałem o tym. Nawalał się się dość po świecie. Ty słyszałem byłeś na Wschodzie?

— Tak, a ty?

— Ja cały czas przepędziłem na niemieckich uniwersytetach i we Francji.

I znowu umilkli. I jeden i drugi bał się zacząć serdeczniejszą rozmowę, bał się trącić o młode czasy, by u drugiego nie zobaczył ironicznego śmiechu. Leona odstraszało od Julka jego ubranie eleganckie parzytkie, — Julkowi Leon wydawał się szorstkim trochę.

— Czy znasz całe towarzystwo tutejsze? — spytał znowu Julek.

— Nie.

— I ja tu jak obcy, lecz wiele osób bardzo mi się z powierzchowności nie podoba. Żałuję pani G., że nie umie sobie dobrać odpowiedniego towarzystwa.

— Więc z miny i z ubioru sądzisz o towarzystwie?

— Forma wiele znaczy w świecie.

— Nie poznaję cię...

— A ty zawsze jesteś demokratą? spytał trochę ironicznie Juliusz.

— Ja nie kameleon....

— I ja nim nie jestem, ale przy młodych, niedoświadczonych zdaniach nie obstać....

— Nie bronie.

W tej chwili muzyka zagrała kontredansa. Młodzi rozeszli się. Julek poszedł prosić Anieli, a równocześnie zbliżał się do niej Leon.

— Czy mogę prosić? spytał Juliusz.

— Już panu Leonowi obiecałam, rzekła podając rękę nadchodzącemu. Juliusz przygryzł wargi, usiadł na kanapie i nie tańcząc, patrzył na tańczących, a szczególnie na Anielę. Ona od czasu do czasu rzucała mu, jakby jałmużnę, spojrzenie, które on chciało chwycił. Leon nie uważał tego, on był zadowolony wyborem Anieli. Następnego mazura Aniela tańczyła znowu z Leonem, ale widząc twarz Julka smutną, wzruszoną, ulitowała się nad nim i wybrała go do figury. Była to może nietyle zalotność ze strony panny Anieli, ile raczej brak własnego zdania. I jeden i drugi jej się podobał, lecz żaden nie zajął jej serca, tylko głowę. Obaj artyści, obaj z wielką przyszością; przecież Leonowi wyraźniej dawała uczucie swoje przychylności, raz dlatego, że Leon był więcej na pozór zimny, obojętny, więc chciała złamać jego obojętność, a powtóre, że Leona charakter mężki, silny, więcej miał uroku dla Anieli. Każda z jej strony oznaka przychylności dla Leona, widocznie bolała Juliusza. Przy herbacie usiadła Aniela między obydwojma.

— Pan Leon czegoś dziś nie swój? zagadnęła milczącego Leona.

— Owszem pani, dziś więcej niż kiedy jestem swój, odpowiedział z naciskiem.

— Jakże pani życie schodzi w Krakowie? zapytał z drugiej strony Juliusz.

— Tak jak i na wsi, między sztuką i modlitwą. Gram, czytam, a gdy mnie to zmęczy, wtedy idę wytchnąć w kościele. W Krakowie jest się gdzie modlić.

— Czy oprócz sztuki i modlitwy, pani niczym więcej się nie zajmuje?

— Jak to pan rozumie?

— Czy wielbiąc arcydzieła, nie myśli pani czasem i o twórcach? pytał i z wyrzutem na nią patrzył.

— Nie rozumiem pana.... Panie Leonie, czy pan nie zapomniał o wczorajszym przyrzeczeniu?

— O jakim?

— A, pan Leon ma krótką bardzo pamięć... więc sama przypomnieć się muszę. Jutro pan obiecałeś zacząć mój biust.

— Prawda, stawię się na czas.

— Więc dla mnie jutro wstęp zamknięty? spytał znowu Juliusz głosem syczącym, namiętym, i ogień miał w twarzy i w oczach.

— A, prawda, rzekła Aniela, pan obiecałeś nam jutro przeczytać swój poemat. Ależ to jedno drugiemu nie przeszkadza. Pan Leon od poezji nie ucieknie i przysłucha się także. Więc zapraszam panów na jutro na 12tą.

Po herbacie Juliusz wstał i poszedł ku oknu ochłodzić się.

— Nie spodziewałem się w nim rywala, rzekł do siebie.

Leon pożegnał panią domu.

— Pan tak wczas nas opuszcza?

— Muszę — i wybiegł prawie z pokoju, a wychodząc myślał sobie: Julku, Julku nie pragnęłam takiego spotkania.

Nazajutrz obydwoj stawili się na oznaczoną godzinę; jeden drugiego chciał uprzedzić, by choć kilka słów pomówić z Anielą bez świadków. Każdy chciał jej coś powiedzieć, coś jak wyrzut, coś jak stanowcze zapytanie. Ztąd się stało że obaj równocześnie zeszli się na schodach.

— Ty już tu? spytał ironicznie Juliusz.

— Już dwunasta, a ja lubię być słownym.

— Więc czekałeś na dwunastą przed domem? mówił Juliusz, którego już zimna krew opuszczała.

— Julku, tylko małe dusze chwytają się tej broni jaką ty wójujesz, rzekł trochę z pogardą Leon, i pierwszy otworzył drzwi.

W pokoju panny Anieli, slichnie i z gustem umeblowanym, stał już kloc gliny i narzędzia rzeźbiarskie. Matka z córką czekały młodych ludzi. Leon nieco chłodno przywitał obie i zabrał się do ustawienia gliny w odpowiednim świetle i miejscu. Julek rozpoczął z Anielą rozmowę. Rzeźbiarz zmarszczył się.

— Panie Leonie, czy rzeźba pozwoli mi zostawić tę białą różę we włosach?

— Owszem, ona doda piękności twarzy.

— Czy myślisz, Leonie, że będziesz musiał dopiero dodawać piękności?

— Panie Juliuszu, ja komplementów nie lubię.... rzekła płonąć Aniela.

— Ani prawdy?....

— Ani prawdy. No, ja już siadam. Mamo, siadź tu obok mnie, a pan Juliusz na krzesle. Co to za slichny dzień dla mnie: poezja i rzeźba wraz z artystami w naszym domu! Mamo, to większa roskosz niż ten wczorajszy bal, który mnie trochę umęczył. Ale, ale, pan Leon tak nagle znikł, że się nawet pożegnać zapomniał.

— Nie sądziłem że pani to spostrzeże, mówił Leon, gniotąc glinę w kształty twarzy pięknej kobiety.

— Panie Juliuszu, rzekła matka, czy możemy prosić o zaczęcie?

— Najchętniej. I poczęt czytać najnowszy swój poemat: Odstępcy. Poeta mówił o ciemnej, mętnej toni średnich wieków, postawił kościół i rodowe tradycje, jak dwie skały, o które rozbijają się rozhukane wody, o które roztrącają się wysiłki reformatorów, nowatorów. Poemat kończył się krwawą sceną rewolucji francuskiej, której rozbitki wyrzuciła burza na brzegi Polski, i zeszcępiły ją te ciała bez ducha. Koloryt poematu był cudny, rozwój myśli piękny i z zelaną konsekwentnością przeprowadzone potępienie demokracji. Tam gdzie kościół i herb, tam poeta nasyłał blasku, gwiazd, chwały. Aniela słuchała go z wpol otwartymi ustami, bez oddechu prawie; czasem tylko obracała się ku matce, by jej cicho szepnąć: jakie to slichne! To znowu obracała o czy na poetę, który z siłą, zapałem i pewną artystyczną dumą czytał. Leon widział to wszystko i odwracał oczy ku sobie, by twarzy Anieli nie widzieć, ale ją spotykał w glinie z tym samym wyrazem.

Juliusz skończył, i jakiś czas trwało milczenie w salonie.

— Cudowne, rzekła matka. A pan, panie Leonie, jak to znajdujesz?

— Nie znam się na poezji, rzekł Leon, poemat jednak zachwylił mnie bardzo; tylko myśl jego odepehnęła mnie od niego.

— Jakto?

— Poeta potępia każdą pracę ducha i serca, co wiedzie świat naprzód. A przecież mnie się zdaje, że każda praca myśli, każdy wysiłek ducha ku zbadaniu prawdy, nie grzechem jest, ale zasługą człowieka, choćby ta praca została bez rezultatu. Bo dojść do prawdy nie jest w mocy naszej, ale dążenie do niej jest naszą powinnością.

— Może być że jest słuszność w tym co pan mówi, rzekła Aniela, ale ja wolę poemat pana Juliusza, jak pańską prawdę, bo prawda mądra, a poemat piękny. Panie Juliuszu, czy mogę prosić o pozwolenie mi tego poematu na kilka dni? Wynotuję sobie z niego do mej teki kilka ustępów.

— Nie potrzebuje pani prosić o pożyczanie, bo on do pani należy.

— Czy to prawda, panie Juliuszu? zapytała uszcześliwiona Aniela i slichnym wzrokiem podziękowała poecie. Będzie to najpiękniejszy i największy skarb w mojej tece, umieszczę go obok Słowackiego.

— Więc pani jesteś wielbicielek Słowackiego? spytał Juliusz.

— Dzięki panu Leonowi, który mnie z jego cudownymi utworami poznał.

— A, teraz się nie dziwię.

— Czemu? czy pan nie podzielasz mego zdania?

— Wcale nie. Słowacki był mistrzem słowa, z ogromem fantazy; ale to wszystko w takim chaotycznym nieładzie, że sam poeta mógł w tym labiryncie pobłądzić, a cóż dopiero czytelnik. Mało artyzmu w tym niedorosłym, obłąkanym geniuszu.

— Bo Słowacki nie chciał być artystą, gdy mógł zostać wieszczem, rzekł krótko Leon. Ja wolę cztery wiersze testamentu jego, niż niejeden artystyczny poemat, który tak przystaje do naszego obecnego położenia, jak róża do trupiej narazy.

— Jak widzę, zanoszą się między panami na żywą dysputę. Otóż ja ją rozetnę i proszę zmienmy rozmowę, bo znam pana Leona, że od swego nie odstąpi. Panie Juliuszu, gdy mnie pan Leon zwolni z siedzenia, zagram panu jedną sonatę na podziękowanie za „Odstępców.“ Czuje, że dziś zagram ją lepiej niż kiedykolwiek, dodała, przesywając go oczami.

— Już panią zwalniam z posiedzenia, dziękuję, rzekł Leon i zarzucił mokrą szmatę na biust.

— A cóż, nie pokażesz nam pan coś zrobił?

— Nieskończone — rzekł Leon.

— Ależ i o nieskończone prosimy, a przynajmniej ja chciałbym widzieć, powiedział Juliusz i odkrył biust. Matka i córka także się zbliżyły.

— Podobny jest, rzekł Juliusz, ale niema kolorytu i oczów, więc nigdy zupełnie zadowolnić nie może. Panią należałoby raczej malować niż rzeźbić. Ale co uważam, że Leon jedną połowie twarzy nadał wyraz nieco odmienny od drugiej. Czy to z umysłu?

— Może i z umysłu, są czasem dwulicowi ludzie na świecie.

— Panie Leonie, pan mnie obrażasz, rzekła żywo urażona Aniela.

— Nie, ja tylko prawdę mówię, rzekł Leon błdy ze wzruszenia, uderzył pięścią biust, rozwałił go i wybiegł z pokoju.

V.

Szlachetna zemsta.

Tak wielkie zapomnienie się Leona, zamknęło mu nazawsze drzwi domu pani G. Tak przynajmniej Juliusz myślał. Cieszył się, że tak niespodzianie i łatwo pozbył się rywala i pewnym już był serca Anieli. Przecież inaczej się stało. Aniela od owej sceny straciła wiele na humorze, często się zamyślała i nieraz Juliusz po kilka razy musiał powtórzyć pytanie, zanim na nie otrzymał odpowiedź. Anielę i rozdrażniało postąpienie Leona, i podobalo się jej zarazem; niegrzeczność nazwała oryginalnością, wyskokiem dzikięj, poetycznej duszy, i czuła że bardzo kocha Leona, że jej pusto na świecie bez niego. Szczęście za górami piękniejsze nam się wydaje, niż gdy je w ręku trzymamy. To też i Anielce dopiero wtedy w całym uroku stanął Leon na myśli, gdy czuła że go utracić może. Rozumię się że przy takim termometrze serca panny Anieli, Julkowi nienajwygodniej było. Nieraz dusza biednego poety skakała jak linoskok po różnych tonach, któremi chciał poruszyć zamysłoną pannę. To szalał, to drwił, to prosił, to udawał obojętnego, to smutkiem chciał litość, a potem miłość z-

skąd;—ale Aniela jakby szklanymi oczami patrzyła na te podrzuty serca i widno było, że ją nie to obchodzi, że nie o tym myśli.

Raz pod wieczór siedział z nią przy oknie, matka przy drugim oknie czytała książkę. Aniela patrzyła na ulicę. Wtém zdało jej się że Leon przechodził koło kościoła Panny Maryi; podniosła się żywo, ale wnet usiadła, poznavszy swoją omyłkę, i zamysliła się znowu. Julek siedział naprzeciw niej i śledził poruszenia jej twarzy, jakby z nich chciał myśli dziewczęcia odgadnąć.

— O czym pani tak myśli? spytał badawczo.

— O niczym, tak tylko, wieczór usposabia do myślenia.

— Czy i do patrzenia także? pani czegoś szuka oczami po rynku...

— Nie wiem czego, chyba kamieni...

— Tak kamieni, posagów, a może i czegoś więcej... mówił powoli, z naciskiem Juliana.

— Może...

— Może i mistrza kamieni?...

— Może...

— Więc zgadłem? pani lubi czasem myśleć o ludziach niegrzecznych, a może netylko myśleć?

— Może... czy panu co na tym zależy?

Juliusz nie mógł dłużej utrzymać się w swą rolę; wziął ją za rękę i cicho, ale z siłą zapytał:

— Pani kochasz Leona?

— A gdyby tak było?...

— To byłoby okropnie, brzydko!

— Pan Juliusz się zapomina...

— Prawda, zapominam się, rzekł Juliusz drwiąco, siadając. Zapomniałem że o Leona zazdrosnym być nie powinienem, jak o kogoś co już nie istnieje, bo on tu nie wróci...

— Czy pan pewny tego?

— Znam go dobrze, on nie lubi, a może i nie umie przeproszać...

— A gdyby ja go przeprosiła?...

— Pani? pani?... I wstał Juliusz z krzesła. Pani? I patrzył jej w oczy.

Aniela zmieszana się przed tym wzrokiem, przecież się zdobyła na jałowy uśmiech, którym chciała pokryć prawdę słów swoich. Juliusz puścił jej rękę i trochę z pogardą, trochę z bólem rzekł:

— Kokietka!

Aniela rozgorzała rumieńcem oburzenia.

— Pan się dziś zbyt zapominasz, panie Juliuszu.

Wstała i poszła do matki. Juliusz niedługo u nich bawił, pogadał kilka słów jeszcze i zabierał się do odejścia.

— Co panu jest? spytała pani G. troskliwie, pan taki błądy i zmieniony.

— Niezdrows jestem trochę i dlatego daruję panie, że je przed herbatą pożegnają.

Sklonił się i wyszedł, a obrażona Aniela ani jednym spojrzaniem go nie obdarowała.

Juliusz z jakimś postanowieniem poszedł prosto do mieszkania Leona. Zastał go przy pracy. Leon powstał zdziwiony, by go powitać.

— Ty u mnie?

— Nie będziesz się dziwił, gdy ci powiem powód. Usiądźmy. Ty kochasz Aniele?

— Bo co?

— Bardzo wiele. Musimy się strzelać o nią.

— Więc po to przychodzisz do mnie po tylu latach niewidzenia, by mi pistolet pokazać? Niepotrzebnie się trudził, ja się strzelać nie będę.

— Nie?

— Nie. Zbyt drogo cenię życie, zbyt czuję jego obowiązki, bym dla wątpliwej miłości kobiety miał je na grę wystawiać. Kto dziś takimi drogami wykrada się z życia, ten u mnie więcej niż zbrodniarz.

— Moralizujesz, a ja nie po to przyszedłem.

— Tylko po moje życie? Oj Julku, Julku, jeżeli wszyscy poeci mają mieć głowy i serca tobie podobne, to każda matka powinna prosić Boga, by jej syn nie był poetą. Stajesz przedemną z pistoletem w ręku, zakulisowany bohater. Snadź lekko cenisz życie, gdy je masz na pozbycie za drobnostkę. Ale wy wszyscy tacy... czyny wasze kłamią waszym słowom. Po co pojedynki? Czy chcesz z obwiązaną ręką stanąć przed nią i łzę wywabić? Wszak już twoim rywalem nie jestem, bo więcej jej widzieć nie będę.

Juliusza upokorzyły te słowa; uczuł śmieśność swego postępku.

— Nie śmieć się ze mnie, Leonie. Zakochani zwykle szaleją lub głupieją; ja czuję w sobie i jedno i drugie.

Usiadł zmęczony. Leona zabolaly te słowa, zbliżył się do Julka i łagodniej już rzekł:

— Nie masz się czego martwić. Ja ci ustąpiłem z drogi i więcej zawadzać ci nie będę.

— A jak ona ci każe wrócić?

— Każe?—ona tego nie zrobi...

— A gdyby zrobiła?...

— Wtedy... wtedy... także nie wrócę.

— A jeżeli prosić cię będzie? ona i to gotowa zrobić...

— Aby to zrobić, potrzeba kochać...

— A jeżeli ona cię kocha?

Leon uśmiechnął się.

— Więc gdyby prosiła, pójdziesz?— pytał znowu Juliusz.

— Wtedybym nie mógł nie iść.

— To zabij mnie, albo ja ciebie zabiję! zawołał w dzikim szale Juliusz.

Leon patrzył na niego z litością; potem niespokojnie chodził po pokoju. Stał przed Julkiem i spytał go:

— Julku, czy ty ją tak bardzo kochasz?

— Gdybyś ją choć cząstką mojej miłości kochał, nie pytałbyś się o to.

— I czujesz że będziesz z nią szczęśliwym?

— Ja nie myślałem nigdy o większym szczęściu.

— Julku, przez pamięć naszych młodych lat, ja się jej rzekam dla ciebie. Robię to dla tego Julka, którego dawniej znałem.

— I nie przyjdiesz, choć będzie prosić?

— Nigdy, na to masz moje słowo. Podał mu rękę, potem usiadł i zakrył twarz rękami, a gdy wstał, był bardzo zmieniony.

— Leonie, ty cierpisz! Ja czuję całą wielkość twojego poświęcenia się i odpłacę ci to przyjaźnią. Bądźmy jak dawniej, choć zasady nas różnią.

— Nieteraż, nieteraż mówimy o tym—szeptał Leon. Teraz zdawałoby mi się, że mi płacisz przyjaźnią za poświęcenie; ja takich handłów nie chcę. Zostaw mnie, potrzebuję być sam.

Gdy Juliusz wyszedł, ktoś zapukał do drzwi Leona.

— Kto tam?

— Ja Leonku, ja, twój papa.

Leon wstał na powitanie ojca. Pan Fritz był w niezwykłym humorze i w niezwykłym ubiorze. I humor i ubiór były od święta. Nankinowe pantaliony i takaż kamizelka, ładniej odbijały od czarnego krótkiego surduta; czarny wysoki halsztuk trzymał do góry brodę pana Fritza; żółta fularowa chustka wdzięcznie wisiała z kieszeni, na głowie miał pudło nazwane kapeluszem kastorowym.

— Leonku, Leonku, szliczny interes! Ja zarobił dla ciebie najmniej 600 guldenów. Sluchaj. Sliszał ja już od niejednego, że ty kochasz się w ładna panna. Huncfot chłopak, nie chce się wydać przed ojcem, myślę sobie. No dobrze—ale co z ładności, jak ładność gola? Myślę: chłopiec się na to nie zna, może go oszukają. Otóż ja dziś w wielka gala, jak mnie tu widzisz, poszedł do pani C. i dowiedział się o wszystkim. Jak Boga kocham, panienka ładna, szliczna, tłściutka, masz gust, lajdak chłopak, (tu szczytnął Leona z zadowoleniem w podbródek), a do tych szlicznościów ma i majątek ładny. Już się z matką ułożyłem, powiedziałem wiele ja mogę dać, spitałem wiele ona da, i wiesz wiele? 400,000 guldenów! A co? szliczny interes! Ale też ciebie chwaliłem, chwaliłem przed niemi!... Ja na tem zarobił mało 300 dukatów.

(Dokoniczenie nastąpi).

PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

27 marca.

Wiadomość o wzięciu Puebli nie sprawdziła się. Generał Forey wydał wprawdzie proklamacyę, lecz wspomina tylko o blizkim zdobyciu tego miasta. Ogólnie sądzą, że zajęcie Puebli jest trudnym i że nawet w sferach urzędowych nieinaczej myślą. Najlepszym tego dowodem jest ciągle wyprawianie posiłków do Meksyku. Pomimo niejednokrotnych zaprzeczeń, listy z teatru wojny wspominają o świeżych posiłkach, między innymi nawet o wycofaniu całego pułku z korpusu okupacyjnego w Rzymie. Też same listy twierdzą, że w Tulonie czynią przygotowania do wsadzenia na okręty całej dywizji, rząd bowiem chce przyspieszyć sprawę, przed nastaniem żółtej febrы. Zresztą z odezwy Foreya wykazuje się, że gabinet francuzki nie zamierza tak prędko wycofać się z Meksyku, generał bowiem przyrzekł Meksykańkom opiekę armii francuzkiej, dodając że ta pozostanie dosyć długo w kraju, aby dopomóc mieszkańcom do rozwoju na drodze postępu. Tymczasem działania wojenne rozpoczęły się z dniem 4 marca. W ogólności o za-

miarach rządu francuzkiego co do Meksyku, nie pewnego wiedzieć nie można, a koszta wojny tak są ogromne, że Meksyk tylko ustąpieniem jakiej prowincyi opłacić je będzie w stanie. Posiedzenia ciała prawodawczego przedłużą się do 40 maja. Wieści o odwołaniu z Aten posła francuzkiego p. Bourię dotychczas nie potwierdziły się.

W Turynie zaszły ważne zmiany ministeryalne. Według depezy z d. 24, prezes gabinetu p. Farini opuścił swe miejsce, dla słabości zdrowia. Zastępuje go p. Minghetti minister skarbu. Dotychczasowy minister spraw zagranicznych p. Pussolini podał się także do dymissyi, z pobudek osobistych. Twierdzą że te dwie ważne zmiany w gabinecie włoskim; tudzież powołanie do Turynu generała Cialdini, zapowiada przewagę wpływu francuzkiego i nowe negocjacje w kwestyi weneckiej. Pożyczka włoska idzie jaknajpomyślniej.

Na posiedzeniu izby lordów w d. 24 b. m. zajęto się znowu kwestyą interwencji pokojowej w Stanach Zjednoczonych. Hrabia Russell odpowiedział w imieniu rządu, że niestosownie było występować z pośrednictwem, skoro obie strony niebardzo są skłonne do układów, mimo obustronnych a nieustannych klęsk wojny domowej. Z tym wszystkim oplakane następstwa tej wojny najdotykałniej czuć się dają Anglii. Depesze ostatnie wspominają o zrabowaniu przez robotników magazynów odzieży, przeznaczonych dla biednych. Wysłany pośpiesznie oddział huzarów z Ashton, przywrócił zachwiany porządek. Szesćdziesiąt osób aresztowano.

Korrespondencye z Aten z d. 13 b. m. zapowiadają pomyślniejszą dla Grecyi erę. Zgromadzenie narodowe, ujawszy w swe ręce ster rządu, energicznie wkroczyło na drogę reform i oszczędności. Ministerjum zamierza nawet rozpuścić armię, zostawiając tylko żandarmeryę i gwardyę narodową, do utrzymania porządku wewnętrznego w kraju. Środek ten przyniosłby skarbowi greckiemu do ośmiu milionów rocznej oszczędności. Z kandydatów do tronu, najwięcej ma teraz powodzenia książę Wilhelm badenski.

Według depez z New-Yorku, senat waszyngtoński odroczył swe posiedzenia. Tym sposobem władza coraz silniej skupia się w rękach prezydenta Lincoln, który wszakże dotąd korzystał z niej nie umiał. Armia północna znajduje się w najsmutniejszym stanie. Bitwy, choroby, niedostatek tak ją zmniejszyły liczebnie, że Lincoln żądać ma znacznego powiększenia liczby wojska. Korpus generała Grant pod Vicksburgiem liczy do 42,000 chorych na gorączki, febrы i t. d. Separatysty rozbroili 7000 Murzynów nad Rappahannockiem; federaliści zaś zabrali do niewoli kilka tysięcy separatystów nad Mississipi, wraz z ośmiu okrętami. W bitwie pod Port-Hudson północni stracili do 200 ludzi i dwa działa. Kłopoty finansowe także są niemałe. Minister skarbu p. Chase przybył do New-Yorku, w celu zaciągnięcia nowej pożyczki 150 milionów dolarów.

Cesarz austryacki ma zamiar objechać w ciągu bieżącego lata niektóre prowincye koronne. Listy z Wiednia zapewniają, że cesarz postanowił zwołać wkrótce sejm węgierski, przyczem mają być wprowadzone w Węgrzech nowe reformy. Z drugiej strony korespondent wiedeński do dziennika Pesti Hirnök zaprzecza wiadomości, jakoby kancellarya nadworna węgierska otrzymała polecenie przygotowania się do zwołania sejmu. Sejmy prowincjonalne, szczególnież zas czeski i morawski, odbywają ciągle narady nad prawem gminnym. Książę Metternich, ambasador austryacki przy dworze francuzkim, wrócił do Paryża. (Patrie. Ind. Bel. Schles. Ztg. Jour. de Deb. Constil).

Ostatnie depeze. Londyn 24 marca. Na dzisiejszym posiedzeniu p. Bright przedstawił petycyę, aby rząd nie dopuścił odpłynięcia z portów angielskich 40 okrętów, przeznaczonych prawdopodobnie dla separatystów amerykańskich.

Paryż 25 marca. Wczoraj cesarz przyjmował księcia Metternicha.

Wiedeń 23 marca. Dzienniki ranne doniosły o przesileniu ministeryalnym, jakie nastąpiło w skutek nieporozumień z kancelerzem przydworkowym węgierskim. Wiadomość ta potrzebuje potwierdzenia.

Berlin 24 marca. Marszałek Grabow zawiadomił izbę o uprzejmym przyjęciu deputacyi przez króla. Monarcha dziękuje izbie za życzenia i zarazem oświadcza iż jest przekonany, że mimo różnic opinij, wiele rzeczy da się zgodnym załatwić, ponieważ kraj i jego reprezentanci wierni są tronowi.

Turyń 26 marca. Dzienniki włoskie zaprzeczają pogłosce o śmierci Garibaldegо i twierdzą że przeciwnie stan jego zdrowia znacznie się poprawił.